



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

GRZECHY EKONOMICZNE.

Spencer w książce swojej o wychowaniu nazwał to grzechem fizycznym, gdy ktoś niedbałym jest o zdrowie swoje, gdy ruiniuje organizm przez złe używanie sił, danych mu przez naturę. Można też podobnie nazwać grzechem ekonomicznym niedbałość w gospodarowaniu mieniem posiadaniem, marnowanie próżniaczce tego, co pod lepszym, pracowitszym, rozumniejszym zarządkiem pomnażałoby nasze, a zarazem społeczeństwa naszego, zasoby; ale najcięższą już w tym kierunku winą, grzechem przeciw ogółowi swojemu, jest, gdy ktoś posiadany kapitałem tak rozporządza, iż ten, z kraju wyciągnięty, poza jego granice uchodzi, zwłaszcza, jeżeli kraj ten nie jest bogatym, jeżeli jest wręcz ubogim i nie ma sposobów odbijania strat poniesionych przez przyciąganie sobie również kapitałów obcych, za pośrednictwem czy handlu i przemysłu, czy innych środków atrakcyj.

Dzienniki nasze podały w tych czasach wiadomość, iż warszawskie biuro pasportowe przyjęło w roku ubiegłym do kasy swojej sumę przeszło 37,000 rs., powstała z opłat, jakimi są obłożone paspory zagraniczne, stawiając w dodatku smutne pytanie: a ile to pieniędzy wywiozły ze sobą i u obcych zostawili ci. tak liczni podróżnicy nasi? Ale tu nie wszyscy jeszcze winni są i grzeszni, bo nie wszyscy wyjeżdżają bez celu wyższego nad próżną chęć zabawy i przejażdżki bezmyślnej, dla szyku. Są jedni, którzy szukają tam daleko zdrowia, jeżdżą do źródeł

ożywczych, lub chronią się pod łagodniejsze i cieplejsze niebo. Są inni, którzy jadą do ludzi po naukę, chcą poznać cywilizację od naszej wyższą, zbadać stosunki życia tam, kędyś się pełniące; jadą poza kraj z myślą o kraju, z uczuciem synowskiego doń przywiązania, aby zdobyć sobie środki lepszej, doskonalej prowadzonej pracy, i szersze, lepiej rozświecone poglądy na życie—wiadomość czego nam brak i co posiadamy tak cennego, że nam to troskliwie zachowywać należy, nabywając, oile można, tanto inne, co u nas niedostatkiem się wykazuje. Do grzesznych należą tylko lekkomyślnicy, szukający poza krajem użycia i rozrywki; do grzeszniejszych, do ciężko, śmiertelnie grzesznych, należą ci, co dla łatwiejszych, wygodniejszych warunków życia osiadają na obczyźnie, zjadając tam grosz z kraju przywożony, i marnując wziętą, wydarte chudobie naszej na cele dla nas bezużyteczne. W ten-to sposób do nędzy, do upadku ostatniego, doszła Irlandya.

Posiadacze większych własności ziemskich nie Irlandczycy przecież, ale ludzie używający owoców zabrcu, Anglicy rozkolonizowani w kraju nieszczęśliwym, wyjeżdżali na czas wesołego użycia zabaw do Anglii, do Londynu, lub na ląd stały, zamieszkując tam i zużywając kapitały, wyciskane z dóbr swoich, a powstające z pracy ludu tamtejszego. Wynosiły się tak poza kraj nawet rodziny irlandzkie, ludzie, którzy niby kochali ojczyznę swoją i dlatego właśnie—uciekali z niej! Było im tam ciężko, smutno i biegali ze stanowiska, bo niedające się wydrzeć z piersi uczucie nie byłoby im pozwoliło tonąć tu swobodnie w egoistycznie zbudowanym sobie szczęściu pasażerów, zjadaczy smacznego chleba: więc zbierali manatki i opuszczali domowe ogniska, stare ołtarze rodzinnego znicza, aby kędyś daleko rozbijać swój namiot cygański. Takie zbiegi, których, niestety, i my zaczynamy liczyć coraz więcej, tacy nieobecni, stają się wykreślonymi z na-

szych ksiąg żywota i są to ludzie moralnie dla kraju umarli.

Ale jest jeszcze inna kategoria ludzi grzeszących na polu stosunków ekonomicznych, przeciw społeczeństwu swojemu—ci nie marnotrawnie grosz wydają, ale przeciwnie, zabiegliwie go gromadzą, choćby z ujmą interesów ogólnych. Są to wszystko przedsiębiorcy i kupcy, którzy dla zysku sprowadzają z zagranicy towary takie, jakiego w kraju nie brakuje, podając w ten sposób rękę konkurencji obcej, na szkodę i zgubę produkcji krajowej, i albo tym towarami handlują, albo zakupując go jako materiał surowy, przerabiają u nas, nie potrzebując się lękać żadnych cel ochronnych. Cło ochronne powinno się znajdować w sercu, w uczuciu dobrego obywatela, ale oni, jak ci przekupcy, których Chrystus wygnał biczem ze świątyni Jerozolimskiej, nie pytają się przeciwko jakim przykazaniom cnoty obywatelskiej grzeszą? w jaki sposób popełniają świętokradztwo w najdroższym człowiekowi przybytku? Zysku tylko chciwi, zysku pragnący, pociągają i innych za sobą, poddając im na warunkach dogodnych przedmiot swego handlu, i licząc z jednej strony na biedę i nieświadomość tłumów ludowych, z drugiej strony na miłość grosza w tych klasach wyższych, które, wydając go rozrzutnie gdzieindziej, silą się potem na oszczędności i są zawsze skąpi w chwilach ofiary na rzecz dobra publicznego. Ci kupcy, ci przemysłowcy na wielką skalę, są przynajmniej jakotako rozumni w dbałości o interes własny, jeżeli pragną zrobić prędko majątek, fortunę taką, która się już może oprzeć oddziaływaniom wszelkiej biedy, wszelkiej klęski ogólnej; co będzie dotyczyć innych, co będzie z konieczności dotyczyć ich własne dzieci? o to nie pytają, o to nie dbają może;—„Après nous le déluge“.... wołał cynicznie Ludwik XV.... Po nas niech trawa nie rośnie—mówi sobie w duszy zimny egoista—ale dla tych, którzy nie są w położeniu

podobnem, i nie mogą mieć nadziei prędkiego zbicia wielkiej fortuny, dla ludzi niemyslących wycofywać się wkrótce z przemysłowego zawodu, dla całego wielkiego tłumu konsumentów—zysk ów doraźny na tańszym towarze nie jest bynajmniej zyskiem. Kapitał jest tem w społeczeństwie każdym, czem krew w ciele naszym; krąży ona nieustannie i, ożywiając cały organizm, zasila w równej mierze wszystkie jego członki. Wypuścimy tę krew ujściem jakimkolwiek: a natychmiast odczuje tę stratę, ten ubytek każda część ciała, przez osłabienie ogólne osłabiona w sobie szczególnie. Społeczność każdego kraju jest względem siebie w takiej samej zawisłości, nie tylko moralnej, ale i ekonomicznej. Te, kiedyś w piśmie naszym przytoczone, słowa Węgierki, która zawołała z mównicy do kobiet swego kraju: — „Nikt nie jest u nas bogaty, skoro Węgry są ubogie!” nie jest to frazes, nie jest to nawet wykrzyknik uczuciowy jedynie, ale głęboka i niezbita prawda ekonomiczna. W kraju ubogim, tak przemysł, jak ruch pracy wszelkiej upada, gdyż przy biedzie ogólnej, przy braku kapitałów pokup na wszelkie przeroby pracy ludzkiej, obniża się coraz, bo ubodzy ludzie muszą się obywać bez rzeczy najpotrzebniejszych. Niema też w niczem większej solidarności między obywatelami jednego kraju nad solidarność ekonomiczną, i owa bajka stara o żóładku i buntujących się przeciw niemu członkach ciała, którą opowiedział niegdyś ludowi rzymskiemu Menenius Agryppa, ma tu najściślejsze zastosowanie swoje. Ogłodzony interes ogólny wprawia w niemoc śmiertelną wszystkie warstwy ludności, i całość organizmu społecznego zamiera powoli, jakoby śmiercią samobójczą, już nie tylko ekonomicznie, ale i moralnie. Nie samym chlebem człowiek żyje, ale też żyć nie może bez chleba, i jakże często duch chętny nie zdoła niczego dokonać, gdy ciało jest mdłe—gdy materialne środki działania skruszą się i służbę nam wypowiedzą!

Ekonomiczny interes miast zdaje się na pierwszy rzut oka oddzielnym od interesu wsi: a przecież związek jest tu tak ściśły, jak ściśła jest łączność dwóch ogniw jednego łańcucha. Wiesz bogata, za zbyt płodów swoich odpowiedni kapitał posiadająca: to konsument na wszelkiego rodzaju wartości, które miasto produkuje, to ruch pokupu dla fabryk i sklepów, to szkoła pełna uczniów, to kupiona i czytana książka, to wogóle naturalna wymiana płodów produkcji krajowej, ożywiające krążenie kapitału, praca kwitująca we wszelkich swoich gałęziach: więc społeczność cała używająca tego dobrobytu, który zniknąć musi, gdy kapitał z kraju uchodzi przez towar dowożony, skoro tylko deficyt na tem polu nie może być pokryty towarem wywozowym, jak to właśnie ma miejsce u nas, gdzie wywóz główny, wywóz zboża, upada i ruinuje wiejskie gospodarstwo nasze.

Mieć w troskliwej myśli ekonomicznej wiesz nie tylko obowiązkiem miast, ale miast rozumem, i powtórzę tu raz jeszcze, że przepisy dla ochronego znajdować się powinny w sumieniu obywatelskim każdego uczciwego człowieka: każdego, który przytem umie myśleć i zdolny jest przewidywać przyszłość.

Ta maxyma mądrości, zawierająca się w przysłowiu: „Ziarno do ziarnka, złoży się miarka”, a odpowiadająca drugostronnie nakazowi poety: „Czyni każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży!”, ta maxyma mądrości zaleca nam pamiętać o obywatelskim naszym obowiązku, nawet wtedy, gdy się przedstawia w postaci czegoś, co nie zdaje się być większem niż łepiek od szpilki. Bądźmy czysti jako gołębie, a ostrożni jako węże, pilnujmy dobra ogólnego w sprawach tak wielkich jak małych: tak czyni zawsze każda miłość prawdziwa.

M. Ilnicka.

HENRYK SIEMIRADZKI.

(Dokończenie).

Taka jest działalność Siemiradzkiego. Zbierając znamiona wspólne pojedynczym dziełom dla wydobywania panującego w nich charakteru, przekonywamy się, że najliczniejsze i najpowszechniejsze są te, przez które malarstwo stara się być sztuką malowniczości. Siemiradzki nie jest przede wszystkim myślicielem, historykiem, poetą, nie jest przede wszystkim rzeźbiarzem, zamiast dłuta używającym pędzla: jest przede wszystkim malarzem. Wytworzyć rzecz piękną, malowniczą: to cel jego. Dlatego wysoko rozwinął w sobie technikę malarską i zapewnił pędzlowi swemu tę miękkość, lekkość, równość, tę siłę, która stapia przeciwieństwa tonów szczegółowych w zgodności ogólnej, łagodzi gwałtowne przejścia, nie pozwalała z jednemi szczegółami obchodzić się jako z głównymi, innych uważać za podrzędne. Wszystko u niego jest głównem, bo we wszystkim przemieszkują dusza jego sztuki: malowniczość. Ztąd wyniknęło u Siemiradzkiego znakomite traktowanie przestrzeni, powietrza i światła, ztąd wielka waga krajobrazów; ztąd wreszcie ta syntetyczność, dzięki której otoczenie dostraja się do głównego przedmiotu, a kompozycja sprawia wrażenie *widzenia* ukazującego się w jednej chwili i w jednej niepodzielnej całości. Jak charakterem samej sztuki jest malowniczość, tak znowu znamieniem głównem malowniczości jest wdzięk. Nawet ten starzec zapalany dla Nerona jest wdzięcznym, nawet do tego ponurego morderstwa na Caprei wdzięk się jeszcze wkrada. Powab ciała kobiecego, kwiatów i jasnych draperyi, powab czy-to uśmiechniętego czy smutnie zadumanego krajobrazu, pociąga myśl twórczą i talent artysty nieprzepartym, trwałym urokiem. Dzięki malowniczości, na obrazy Siemiradzkiego patrzy się bez trudu; nie potrzeba się zagłębiać, worywać w obraz dla pochwylenia zjawiska i wyrażającego się w niem wydarzenia. Przyjmowanie sztuki idzie równie łatwo, jak szło jej wydawanie. Pędzel sam się zawsze tłumaczy i obywa się bez suflerów i komentatorów. Od pędzla, na którym nie znać nigdy wysilenia, głównie piękność tych obrazów zależy, a pędzel ten nie schodzi nigdy z toru właściwych malarstwu przeznaczeń i właściwie tej sferności, ale zarazem i doskonałości, zawdzięcza uznanie powszechne, jakim się cieszy u swoich i u obcych.

Sztuka Siemiradzkiego jest oryginalną; powstała, żyje i trzyma się własną swą siłą. Przeznaczeniem jej jest wytworzenie własnej szkoły, oczywiście, w tem ścieśnionem, a jedynie poważnem znaczeniu, jakie „szkoła” w malarstwie mieć może. Początki takiego wpływu, jakkolwiek słabe, dziś już jednakże dostrzegać się dają; czas je dalej rozprowadzi i utwali. Siemiradzki jest oryginalnym, bo ma własny swój styl, którego istotę odtworzyć można ze znamion dostrzeżonych już w malowniczości: tak tu, jak tam, panuje wdzięk zarówno w kompozycji, w rysunku, jak i w kolorystyce. Styl Siemiradzkiego odznacza się szczerością i jasnością, a co do sposobu tworzenia dzieł jest dedukcyjnym, t. j. tym, który wyprowadza formy dzieł zewnątrz, nie zaś przeciwnie. Ta dedukcyjność Siemiradzkiego, nakazuje sztukę jego uważać za sztukę idealną, która przez samą już przeciwstawność do wskrzeszanej dziś hollenderszczyzny, do impresjonizmu i realizmu, miałaby prawo nazywać się oryginalną. Siemiradzki formy swej sztuki bierze z samego siebie — w tem znaczeniu, że potrzebuje sobie sam wytworzyć ideał danej formy, a potem dopiero szuka wzorów w naturze najbardziej do ideału zbliżonych. Dzieło w tych warunkach powstające musi być nie tylko skomponowane według zasad sztuki malarzkiej, który, jak wszelki kunszt, jest rzeczą do nabycia—ale jeszcze utworzone, wyprowadzone z własnej pracowni duchowej, — na co niekażdy

już artysta zdobyć się może. Natura przepisuje tu prawa, których pogwałcić nie wolno, ułatwia wytworzenie się form z mgławic natchnienia; ale sama nie tworzy, nie wyręcza, nie wdziera się do sztuki, aby własną treść swoją bezwiedną, przypadkową, w nią wnosić. Co nie odczute lub niepomysłane przez samego człowieka, to nie ma prawa bytu w tej sztuce, która nie chce być ślepem fotografowaniem, banalnym przedrzeźnianiem lub naśladownictwem najpowierzchniejszych zjawisk życia. Artysta uprawiający taką sztukę będzie zawsze sprzymierzeńcem natury, nie będzie nigdy jej niewolnikiem; niewola jest udziałem słabych, wątłych, własnej swej treści nieposiadających. Gdy się już tworzyć nie może, zaczyna się robić; gdy się już robić nie może, zaczyna się naśladować. Wystarczy i to dla poziomów sztuki, ale nie wystarczy dla jej szczytów.

Malarstwo Siemiradzkiego, będąc jasnem, wyrazistym, ale spokojnem w kolorystyce, jest także spokojnem w kompozycji; dramatyczności w niem prawie nie dostrzedz, a nazwa *statycznego* bez właściwości zastosowaną do niego być może. Jak ruch zewnętrzny, zjawiskowy, taksamo i wewnętrzny, psychiczny, trzyma się u niego na umiarkowanym stopniu. Nikt wszakże nie zarzuci artyście braku charakterów lub bezdusznosci oblicz; w *Pochodniach chrześcijaństwa* pokazał, jak urozmaicać umie tłumy postaci ludzkich, jak dobrze odgranicza jeden osobnik od drugiego, przez rozmaitość nadawanego wyrazu; żadnej jego twarzy nie można nazwać martwą, bezmyślną, hieratyczną, jak żadnej kompozycji—pozabawioną zającia; ale spokój, miara, pewna powściągliwość—wyżej już zaznaczona—nie pozwalają też klasnąć nacisku na stronę duchową malarstwa Siemiradzkiego, jeżeli pod tą duchowością rozumieć mamy, nie ten szczególny stan inteligencji artystycznej czującej w sobie siłę i zasobność do samoistnego działania, ale ów stan umysłowości wogóle człowieczej, w którym czujemy potrzebę wyrażenia się i wrażenia istotą swoją w zewnętrzność, a w którym wyobraźnia nasza i świat dla nas i nas dla świata otwiera. Środek ciężkości w sztuce Siemiradzkiego pada na malowniczość zjawiska, nie na duchową treść kompozycji, nie na to, co jest wyrazem, charakterem, poezją dzieł plastycznych. Siemiradzki lubi niezmiernie akcesorya, tak, jak je lubi Matejko; ale Matejko silniej od niego przywiązany jest do wyrazu, do charakteru, do duszy ludzkiej. — jest też większym od Siemiradzkiego poetą. Twórcę „Grunwaldu” możnaby uważać za romantyka pokrewnego Shakespeare'owi; artystm Siemiradzkiego przypomina raczej spokojny, omdierzony, odważony, nierozpędzający się nigdy klasycyzm.

Obok tego klasycyzmu, oznaczającego tylko pewien typ organizacyjny i sposób funkcjonowania talentu, występuje w Siemiradzkim inny jeszcze klasycyzm, już historyczny, poszukujący dla siebie form a nawet treści życia, w świecie klasycznym rzymskim. Wprawdzie ten Rzym, do jakiego nas artysta wprowadza, jest już Rzymem upadku, zgnilizny, miękkości i przewagi zwierzęcia nad człowiekiem ale niemniej jest Rzymem, w formach swoich przedstawianym z tą pewnością, jaką daje tylko gruntowne poznanie, z tem delikatnem a szczerem odczuciem charakteru rzeczywistego, jaki mieć można tylko przy prawdziwej miłości przedmiotu. Szkoda, że nam tak doskonała wiedza, tak wyborny pędzel nie przedstawiają Rzymu bohaterskiego; szkoda, że nie znalazły dla siebie innego zakątka ziemi, do którego by fantazja twórcza miłośniej jeszcze przylgnąć mogła; lecz talenta, równie jak siły świata, jak wszelkie zjawiska, przyjmować potrzeba takimi, jakimi są. Talent Siemiradzkiego nie jest bohaterskim, jest raczej uczuciowym, lirycznym. Z dwóch jego żywiołów więcej ma siły ten, który wytwarza specjalnego artystę, niż ten, przez który się jest poetą wogóle, twórcą, wynalazcą zjawisk, wypadków i charakterów przedtem nieistniejących. Wskutek tego nawet ta poetyczność, jaka jest w talentcie, ulega pod naciskiem żądzy malowniczości, jako rzeczy czysto-zewnętrznej, zmysłowej, przeznaczonej dla oka, nie dla duszy, widza. Ale niekażdemu dano taką żądzę i taką zdolność do zaspakajania jej dziełami pra-

wdziwie piękni. Gdyby dziś Rzym Cezarów zmartwychwstał, rozpoznałby się w tym Rzymie Siemiradzkiego — lecz w jego obrazach przegłądałby się, jak w różowych zwierciadłach. Niech jednak lepiej nie zmartwychwstaje....

W tych spokojnych elegiach i sielankach, w tych wielkich płótnach, przepychem zewnętrznym głównie uderzających, w tych krajobrazach, nastrojonych na ton pogodnego zadowolenia, w tych historyach miłosnych, pięknych ale miękkich: w całym tem spokojnem malarstwie Siemiradzkiego, — które jest przedewszystkiem sztuką, co prawda sztuką doskonałą, a potem dopiero poezją, i mniej żyje wyobraźnią twórczą, niż uczuciem zewnętrznej malowniczości — któżby rozpoznał zuchwałego twórcę owej wspaniałej fantazyi z dni pierwszej młodości, gdzie mury Sodomy wałęsały się z potęgą, któraby wystarczyła na zniszczenie świata, gdzie po ludziach tratuje strach gorszy od śmierci; gdzie czujesz się wobec takiego majestatu grozy, iż kto raz tę kompozycją poznał, temu już ona zarysy swoje nazawsze w umyśle zostawi! Lata ostudziły fantazyę, ściągnęły ją na ziemię, do rzeczywistości, a raz wniej postawiwszy, zwróciły ją do wydarzeń mniejszego znaczenia, do pomysłów tchnących liryzmem lub osnuwanych na życiu rodzajowym, a posługujących się piękniemi, klasycznymi formami. Idealne początki sztuki pozostały tylko w metodzie tworzenia, i one-to nadają dziełom Siemiradzkiego ten własny ich charakter, przy którym można mówić już o własnej szkole, jako o rzeczy *in potentia* w dziełach samych tkwiącej. Głównym przymiotem tej szkoły jest koloryt, jest znakomite użycie farb i cała technika czyli robota malarska. W stosunku do tego niepospolitego artyzmu pomysłowość przedstawia się wogóle ubogo; ale intelligencja artysty, jego niezmożona dotąd energia, nie pozbawiają nas nadziei, że kiedyś znajdzie się jeszcze wola i natchnienie do lepszego, godniejszego zużytkowania tak kolossalnego, rzec można, artyzmu. A jeśli kiedykolwiek Siemiradzki, wydobywszy się z więzów malarstwa rodzajowo - historycznego, przejdzie do poważnej historii, to nie wątpimy, iż przy wyborze tematów znajdzie dobrą przewodniczkę w tej prawdzie, że kochać rzeczy cudze — dobra jest, ale swoje potrzeba.

Podajemy tu następujący spis wiadomych nam dzieł Siemiradzkiego:

1. Dyogenes.
2. Alexander W. przebaczący trucielowi.
3. Tobiasz przywracający wzrok ojcu (karton).
4. Zniszczenie Sodomy i Gomory.
5. Zestąpienie Chrystusa do otchłani.
6. Rzeź niewiniątek.
7. Jawnogrzesznica.
8. Prześladowcy Chrześcijan u wnijścia do katakumb.
9. Orgia rzymska.
10. Epizod z czasów Cezaryzmu.
11. Chrystus ze S. Piotrem, uspakajający burzę.
12. Zmartwychwstanie.
13. Elegia.
14. Świeczniki chrześcijaństwa.
15. Widok Sorrento.
16. Idylla.
17. Pokusa.
18. Dziewczeta przy źródle.
19. On i Ona.
20. Pogoń za motylem.
21. Za przykładem bogów.
22. Widoczek.
23. Zabawy patrycyusza rzymskiego.
24. Wazon czy kobietę?
25. Sprzedaż amuletów.
26. Taniec wśród mieczów (z powtórzeniem).
27. Miłosierdzie (Rozbitek).
28. Tyberyusz na Capri.
29. Jaskinia piratów.
30. Tryumf światła (plafon).
31. Febus, Aurora i Cybela (plafon).
32. Obrzęd spalenia na stosie.
33. Portret marszałka Wodzickiego.

Wiemy nadto o dwóch obrazach rodzajowych, znajdujących się w Warszawie w posiadaniu p.

Wernickiego, ale poznać ich nie mieliśmy sposobności.

Stanisław Krzemiński.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Aureli Porocho, według matki, miał świetne widoki przyszłości. Chłopak był ładny, elegant, dowcipny, w towarzystwie miły. W Warszawie, gdzie kończył wychowanie, miał (według własnych już zeznań) powodzenie wielkie. Mama była najpewniejszą, iż sobie krociowe lub milionowe serduszko pozyszcze. Było ono potrzebne, bo interessa Zdunowa pod zarządem wdowy stały coraz gorzej, długi rosły; a że sobie niczego odmówić nie umiano, a dzieci szły za przykładem mamy, z każdym więc dniem położenie przykrzejszem się stawało. Porochowa nie znała na to innej rady nad narzekanie na świat i ludzi. Los, oni — wszystko było winnem, tylko nie ona. Innym się wiodło, jej.... Było to dowodem, że poczciwym, cnotliwym i tym podobnym nigdy się nie powodzi. Czasami, kładąc kabałę i marząc o niebieskich migdałach, które spaść były powinny na nich, wzdychała, dodając: że nie warto być poczciwym na tym niegodnym świecie.

Do goryczy innych łączyła się i ta, że o córkę nikt się dotąd nie starał, a była piękna, rozbudowana bardzo, ożywiona i choć wychowania nie odebrała świetnego, choć traciła mocno parafian-szczyną zarozumiała, podobać się mogła dla samej młodości swej, pełnej świeżości i wdzięku.

Niestety — posag był tak, nawet po najdłuższem życiu — wątpliwy, a Aureli tak wiele potrzebował dla siebie i stał na pierwszym planie....

Szczęściem, pani Porochowa, syn jej i córka, wszyscy mieli to szczęśliwe usposobienie, że, nalażawszy losom i ludziom, łatwo się rozweselali i życie brali lekko.

Wcale do eleganta płochego i wyperfumowanego ze Zdunowa nie był podobnym p. Leon z Baranówki. Mieli obaj niektóre gusta wspólne, ale w dorastającym dziedzicu p. Sędziny, już odgadywać było można daleko poważniejszego człowieka, nieufającego łatwo, przypatrującego się zbliżka, nierzucającego się na nic gwałtownie nigdy. Pan Leon rzadko się unosił, a nigdy całej myśli nie wypowiedział. Powierzchnowość jego mężka, dosyć przyzwoita, nie miała tego uroku, jakim się odznaczał p. Aureli, ale za to silniejszym był i na koniu, na polowaniu, we wszystkich ćwiczeniach ciała, przechodził go owiele.

Jak jeden, tak drugi do życia umysłowego, do nauki dla nauki — powołania w sobie nie czuł. Aureli był muzykalny, ale w najnieznośniejszy sposób, grał bowiem z pewną trywialną wprawą na fortepianie, popisywał się z tem rad, śpiewał fałszywie, smak muzykalny miał fałszywy i tam, gdzie się muzyką zajmowano poważnie, stawał się poprostu śmiesznym.

Leon, do czego się tylko wziął, opanowywał daleko lepiej i chętniej też pracował, silił się, nie żałując czasu. Zarozumiałym nie był, zatem w młodym już baczniejsze oko mogło przewidzieć pedanta i człowieka niełatwego w pożyciu. Młodzi sąsiedzi rzadko z sobą byli w zgodzie i różnili się w zapatrywaniach wielce.

Gdy Aureli już teraz ciągle był zajęty kobietami, romansami, przyszłym ożenkiem, świetną karierą, — Leon instynktownie gromadził zapas na przyszłość. Chociaż matka nie dawała mu wiele

wglądać w gospodarstwo i nie puszczała go z rąk, zajmował się niem, przypatrywał mu, i Baranówki przyszłość obchodziła go mocno. Z tem wszystkim i on, jako młody, miał chwile roztrzępiania, wesołości, ochoty do zabaw.

Obu wychowanie się kończyło, gdyż matki i oni zdecydowali, że uniwersytetów i wyższych nauk nie potrzebowali. Sędzinka tłómaczyła użyteczność tych instytucji tem, że do urzędów, na profesorów, do różnych „fachów“ musiano ludzi przyspasabiać — a dla wiejskich obywateli nie było potrzeba wielkiej mądrości, która z nich prędko wywietrzeć musiała w polu i na zagonie.

Na kilka dni przed powrotem Aurelego przybył p. Leon do Baranówki, rad, że więcej już nie potrzebuje się zaprzęgać w jarzmo karności szkolnej i troszczyć się o te nieznośne examina.

Matka nie mówiła mu nic, nie obiecywała, ale czuł i domyślał się, że mu zda jeden folwark i że tam będzie niezawisłym panem swej woli. Młodemu ta swoboda się uśmiechała najwięcej.

Zawczasu już powiadał sobie, iż przekona matkę o zdolności do gospodarstwa, o praktyczności swej, o wszystkich przymiotach, które sobie przyznawał. Spekulacje złotodajne nastroczała mu fantazyja bujna.

Dzień, w którym Leonek miał powrócić, mniej więcej się dawał obrachować, a Rozalka sama i z matką od tygodnia już napróżno wychodziły na jego spotkanie.

Przechadzka ta wieczorna drogą leśną, cienistą, nie była uciążliwą: chętnie więc się wybierały do krzyża, który stał niedaleko granicy baranowieckiej. Sosny, brzozy, podszyte gęstą leszczyną, niektóre części boru, okryte czernicami i jagodami, polanki zielone — naprzemiany otaczające drogę, urozmaicały widok, który panna Rozalka lubiła bardzo.

Sędzinka miała do tego lasu urazę, że jej nie przynosił, oprócz czernic, które rankami obrywali maruderowie, i grzybów, niedających się też ani dopilnować, ani zmonopolizować; las, zaś zresztą przerąbany z lepszego, wyglądał ładnie, ale chyba na drwa tylko był zdalny.

Droga leśna nie była prostą i daleko widzieć nie dawała, co się na niej działo, ale ucho czułe Rozalki pochwyliło turkot bryczki, a nawet starała się dowiedzieć, że nie mogła być inna nad tę, którą posłano do miasteczka, aby tam na Leonka czekała. Matce uśmiechała się ta myśl, lecz niebardzo ufała przenikliwości córki, która się już nieraz w przepowiedniach omyliła. Tym jednak razem była szczęśliwą: na zawrocie spostrzegli konie, woźnicę z Baranówki i Leonka, który słomianym kapeluszem je witał, a zabierał się zeskoczyć, aby prędzej dobieść do matki.

Krótkie są, ale jakże szczęśliwe te momenta, gdy się swoich, długo niewidzianych, odzyskuje! Sędzinka, niesklonna do płaczu, miała na oczach łzy. Rozalka, zdyszana, mówić prawie nie mogła. Leon, choć daleko umiarkowańszy, czuł, że cała jego dojrzałość i męztwo tu, wobec matki, w kąć pójść musiały, a on powrócił do dziecięcego posłuszeństwa i miłości.

Kochał ją i szanował.

Całując syna i ściskając, Sędzinka nie mogła się powstrzymać, aby mu burki nie dała.

— Ale o trzy dni się opóźniłeś — poczęła — Jeżeli wrócić nie miałeś, nie trzeba się było obiecywać, a raz naznaczywszy termin...

— Zupełnie niespodziana okoliczność — przerwał Leon? — Zobaczy mama.

— No, cóż tak ważnego!

— Jeżeli nic ważnego, to przynajmniej nadzwyczaj ciekawego, nadzwyczaj osobliwego, coś takiego, co nawet mamę zainteresuje.

Zaczęli iść pieszo powoli, ale już im wszystkim było pilno do Baranówki. Leon był podróżą zmęczony, i Rozalka wniosła, że mogliby się na bryczkę, zabrać się wszyscy i prędzej stanąć we dworze, gdzie ich herbata i suty, ale niewykwintny, czekał podwieczorek. Wniosek był praktyczny: Leon zasiadł przy woźnicy, Sędzina i Rozalka zajęły miejsce na tłumoku. Matka była przywykła do bryczki i do wozu, a około gospodarstwa nie wzdragała się od niczego.

Koniki, które Leon sam rażno popędzał, puściły się klusem, i droga, na którą pieszo powoli niemal godzinę było potrzeba, w kwadrans przebyta została. W Baranówce, gdy zaturkotało, wybiegli wszyscy do panicza.

Podwieczorek znalazł się przygotowany, a apetyt do niego przywrócił Leonek tak potężny, iż Rozalka, której także na nim nie zbywało, musiała chlebem z masłem się ratować.

— Ale mówże! mów! co cię zatrzymało! — nalegała siostra.

— Jakies trzpiotowstwo — przerwała matka — zwykle u młodych! Wiatr, co wieje w polu...

Leon się rozśmiał.

— Niech-no mama posłucha.

— Nie potrzebuję się z tego spowiadać, bo mama mnie zna — ciągnął dalej Leon wesoło, za pozwoleniem Sędzinki zapalając cygaro. — Do zbyt elegancji salonów arystokratycznych, do których się dobijać potrzeba, ja nie wdycham. Zostawiam to Aurelemu.

— Ale ty do nich masz większe prawo od niego — przerwała dumnie Sędzinka. — A! tak!

— Może to być — rozśmiał się Leon — a gdyby mama zobaczyła w rejestrykach, ile to białe świeże rękawiczki do tych salonów niezbędne kosztują. Moja kassa niezawsze na to starczy, a długów ani ja nie lubię, ani mama.

— No, ale mówże, nie bałamuć — wtrąciła siostra.

— Tej zimy — mówił dalej Leon — pomiędzy młodzieżą złotą, do której Aureli się też liczy, nie było mowy o niczym, tylko o nadzwyczajnej piękności, uroku, wdzięku — panienki, wychowanki barona Rauna.

Oprócz wszystkich cudów, jakie głoszone o niej, bo cudowne być miało, co tylko się jej tyczyło, opowiadano historią jakąś z tysiąca nocy o tej zaklętej królewnie, że w młodości była opuszczoną, prześladowaną, że musiała uciekać z jakiegoś domu, w którym jej dano przytułek, dla srogiego obchodzenia się, że potem baron Raun ją przypadkiem gdzieś spotkał, wziął, zaopiekował się, wychował, — aż wyrosła na tę cudowną idealną istotę...

Dodać potrzeba, że baron stary, chory, bezdzietny, niemający bliższych krewnych, całą swą milionową fortunę zapisał tej sierocie. Piękna, wychowana świetnie, przybrana córka barona, z posagiem milionowym, można sobie wyobrazić, jak młodzież całą pociągała ku sobie.

Aureli się pierwszy zaczął nią ludzi — unosząc się, prawiać najdziwniejsze rzeczy, namawiając, abym się starał widzieć ją i poznać. Mama mnie zna, że ja tam, gdzie wielka konkurencja, nie rad się wciskam. Powiedziałem sobie, że jest ich tam tylu, iż dla mnie miejsca nie starczy.

Tymczasem w ciągu wiosny wieczór daje pani Słociska, przyjaciółka mamy.

— Od dzieciństwa — potwierdziła Sędzinka — jakże tam jej jest?

— A! dobrze — odparł Leon — córką jedną wydała, dwie są na progu już i pewnie znajdują „odbiorców” — rzekł Leon, śmiejąc się z własnego wyrażenia.

— Mówże dalej o tej baronównie — zaciękawiona podszepnęła Rozalka.

— Zaproszony, przychodzę do Słociskiej i jednego z pierwszych spotykam Aurelego, który już mnie uprzedził i ofiarował się w tańcach przewodzić.

— No, masz szczęście — przywitał mnie w progu — zobaczysz nareszcie gwiazdę, baronównę, bo ona tu dziś będzie!

Ruszyłem ramionami obojętnie. Słociska najczęściej zaprasza, ale gdy się zmoże na wieczór, trzeba jej to przyznać, iż niczego nie braknie. Towarzystwo i przyjęcie było świetne, tylko trochę zaciąsno może, na tak wiele osób.

Ja żadnych nowych znajomości nie mam szukać zwyczajnie, ale wśród wielkiej mnogości wcale pięknych panien, o co w Warszawie nie trudno, uderzyła mnie jedna. Nie wiem, jak mam opisać, bo ja do tego talentu nie mam. Dosyć słusznego

wzrostu, wysmukła, bardzo zręczna, ubrana z wielkim smakiem, otoczona ciągle młodzieżą, uśmiechała się i spoglądała z wielką swobodą — panienka uderzająca pięknoscią, ale w czym ta jej nadzwyczajna piękność była, trudno oznaczyć. Pojedynczo biorąc, ani oczy, ani usta, ani twa rzyzka, ani żaden wdzięk w niej nie uderzał, całość wszakże zachwycała.

Ja nie łatwo się czym tak dając zająć, ale, zobaczysz ją, stałem wpatrzony, zagapiony, i anim się postrzegł, że ludzie to widzieli, a — śmieli się.

Aureli przypadł do mnie.

— No, a co?

— Cóż takiego?

— Nie piękna?

— Kto? — zapytałem. — On wskazał mi tę dziwną właśnie spostrzeżoną panienkę.

— Baronówna, o której ci mówiłem. — Nie tailem, że mi się wydała bardzo piękną.

— No, piękna! — odparł Aureli z zapalem — ale to jest nic jeszcze. Oprócz piękności, pójdzno ją zagadnij, zobaczysz, co to za rozum, dowcip, takt, a przy tem taka miła, tak nie nie dumna!

Przesadzone te pochwały zaczęły mnie niecierpliwić, bo znam Aurelego, że gdy raz weźmie się do uwielbienia, czy do czernidła, nie ma temu końca. Chciałem już odejść, gdy przystąpiła do nas Słociska i zwróciła się ku mnie.

— Znasz pan baronównę? — spytała.

— Nie.

— Chcesz, ażeby cię zaprezentowała?

Zawahałem się, nie miałem wielkiej ochoty, ale nie wiedział sam, czy mi wypada odmówić. Słociska tymczasem, jak ona jest poufała i żywa, biorąc moje milczenie za przyzwolenie, pociągnęła mnie do grupy osób otaczających piękną pannę, i niewiele myśląc — zaprezentowała.

Podniósłszy oczy, zobaczyłem ją zarumienioną i zmieszaną. Trwało to bardzo krótką chwilę, i natychmiast usłyszałem głos łagodny, pytający mnie, czym oddawna był w Warszawie? — odpowiedziałem, że tu bawię już z małymi przerwami od lat kilku, ale teraz mam właśnie zamiar powrócić do domu.

Wtem, jakby się jej to mimowolnie wyrwało, słyszę te wyrazy:

— Do Baranówki!

Co u licha! Zkądże ona wiedzieć może, iż my mieszkamy w Baranówce. Nie śmiałem spytać o to. Obojętniej potem zadała mi pytań kilka, dotyczących się tańca, wieczoru, a w ciągu rozmowy tak dziwnie mi się przypatrywała, tak się uśmiechała, takiego coś zdawała się w sobie ukrywać, że gdy się kadryl począł, a ją wzięto, pozostałem gdyby pijany.

Nie mogłem ani zapomnieć, ani sobie wytłómaczyć... Do Baranówki! Kto jej mógł mówić o Baranówce, i co ona ją obchodzić może?

W ciągu rozmów o niej, podsłuchanych mimowolnie, uderzyło mnie jej imię Justyna.

Sędzinka przerwała krzykiem i plasnęła w ręce.

— Nie może być!

Leon się rozśmiał. Nie wiem, może czy nie może to być; ale, że imię ma Justyna, że historia jej zgadza się słowo w słowo z historią siostrzenicy starego gumiennego, która ztąd od nas uciekła — niema wątpliwości.

Jakiś czas pani Sędzina siedziała osłupiała, zdumiona, zaszepiona.

— Imię przypadkowo podobne — rzekła — ale żeby to ona być mogła, nie sposób, niepodobieństwo! Przypomnijcież sobie tego szurgota — twarz, wzrost, cerę. Jakimże cudem ta poczwarka mogła się zmienić w ten ideał? Poproście: niemożliwe.

— Ale ja nie wiem nic — dodał pan Leon — bom nie śmiał jej badać, nie miałem sposobności mówić z nią dłużej, parę słów zaledwie raczyła przemówić do mnie, bardzo łaskawie, obojętnych.

Cóż mama na to?

Milczenie było odpowiedzią w początku. Sędzinka westchnęła tylko parę razy, podparła się na rękę i zadumała.

— A Aureli?

— Aureli imienia jej nie pamiętał wcale i nie domyśla się niczego — rzekł Leon.

— A ty się domyślasz? — zapytała matka.

— Mnie się zdaje, że to nasza Justysia — odparł Leon.

— Nigdy w świecie — sprzeciwiła się Sędzinka. — Co znaczy imię? masz więcej jakie poszlaki?

— Żadnych innych, ale zkądże jej ta Baranówka?

— Przysłyszało ci się! — zawołała Sędzinka.

— Ale mówże o niej — przerwała Rozalka — Podobna ci się ta idealna panna Justyna?

Leon dziwny jakoś wyraz nadał swej twarzy.

— Komuby się ona nie podobala! — rzekł pocichu. — Najpierw wistocie bardzo piękna, potem w oczach ma coś takiego mówiącego, pociągającego, a z boku słuchając, gdy rozmawiała z innymi, taki urok słowa, taka swoboda, taka prostota.

Przy tem wszystkiem ma jeszcze, — na to się wszyscy zgadzają, — coś tak arystokratycznego, pańskiego w sobie, szlachetnego...

Sędzinka się na głos rozśmiała, ruszając ramionami.

— No, widzisz, proszę ja cię — rzekła — i to ten szurgot, głupia ta Justysia, czytać nie umiejąca, miałaby w lat kilka tak się nagle wyuczyć, wykształcić, wypięknąć! Gdzież kto słyszał co podobnego! Justyną może być, ale pewno nie gumiennego naszego siostrzenicą.

Leon głową potrząsał i, rękę wsunawszy do kieszeni, zdawał się z niej coś chcieć dobyć.

— Chociaż fotografii jej dostać trudno, a są przepłacane, kradzione, bo tylko pomocnik fotografa potajemnie niemi handluje, postarałem się o jedną, nieosobliwą, daje wszakże jakietakie pojęcie o fizjognomii...

Sędzinka i Rozalka pochyliły się z ciekawością niezmierną, ponad pugilares, z którego Leon powoli dobył dosyć sporego formatu wizerunek młodzieuchnej panienki, ze zwitkiem papierów stojącej nad stolikiem zarzuconym książkami i kwiatkami. Sędzina wyrwała fotografię z rąk syna, niecierpliwa, i wlepiła w nią oczy, usiłując wspomnienie odrapanej brudnej dziewczyniny porównać z tą śliczną, promieniejącą dziewczyną.

W rysach starej jemości malowało się zdumienie, przestrasz, niepowinność. Położyła fotografię, wzięła ją powtórnie, poruszyła głową, ale syn i córka napróżno czekali, aby powiedziała, co myśli. Milczenie zaś jej mówiło tak wiele, iż Leon wstrzymał się od dalszych wywodów podejrzeń swoich.

Pierwsze wyrazy, które się potem wyrwały z ust Sędziny były:

— Ale Aureli o bożym świecie nie wie?

— O czym? — zapytał Leon.

— A no, o historii Justki, o jej ucieczce. Matka mu pewnie o tem nie mówiła i gdyby nawet słyszał, co by go to miało obchodzić!

— Jednakże — przerwał Leon — uderzyło mnie to, że Aureli kilka razy z wielkiem zdumieniem powtarzał, iż panna zdaje się znać okolice Zdunowa i osoby tam mieszkające tak jakby tu niegdyś była. Gdy Aureli, dziwiąc się temu, chciał ją badać, wyśmiała go za ciekawość.

— Niema najmniejszej wątpliwości, że to ona jest — zawołała Sędzina, biorąc znowu do rąk fotografię. — Wyrosła, wypiękniała, sformowała się, ale rysy zostały te same. Przypominam ją sobie doskonale! Ona to jest! ona!

Zzłymnęła się Sędzina i czoło się jej pofałdowało.

— Ale ktoby to był mógł przewidywać! — dodała smutnie. — Prawdę rzekłszy, ona swoje szczęście mnie winna: gdybym jej nie dokuczyła

gderaniem, nie byłaby uciekła i ten los osobliwy by jej nie spotkał.

Głos zniżyła Sędzina i dorzuciła kwaśno:

— Jeżeli Porohowa się dowie, domysli, to potrafi i zechce korzystać i gotowa podstawić Aurelego! O, to-by mnie w grób wpędziło!

— Ale, mamocha kochana—odezwał się żałośliwie Leon — czy to się godzi takie rzeczy brać do serca! A co nas to obchodzi!

— Będą nam pod nosem tryumfy wyprawiali! — mówiła ożywiona Sędzina — Tego-bym nie zniosła. Teraz trudno jest co przewidzieć, ale mogą rzeczy wziąć obrót taki...

Sędzinka nie dokończyła, pogrążyła się w myślach i, brata z siostrą pozostawiając na szepetach, sama się poczęła przechadzać po pokojach.

Tryumf sąsiadki, której dobry uczynek mógł się wynagrodzić świetnem ożenieniem syna, jak kamień jej leżał na sercu. Mówiła sobie, że gotowa była wiele poświęcić, aby go niedopuszczyć! Zamknęła jednak w sobie smutne myśli i domysły.

Następnych dni strapienie przeczucia jakieś tak ją zmogły, iż postanowiła pojechać w odwiedzin do Zdunowa, aby wybadać: czy Aureli tam jakiej wiadomości nie przywiózł, któraby na myśl o Justysi sąsiadkę mogła naprowadzić.

Nadzwyczaj rzadko bywała Sędzina w Zdunowie i często Porohowa dwie i trzy wizyty jej oddała, nim jedną mogła się poszczycić. Leon był na polowaniu, jechała więc sama z Rozalką.

Porohowa, jak zawsze, przyjęła ją z niezmiernymi demonstracjami czułości i wdzięczności, posadziła na pierwszym miejscu na kanapie, okazywała przejęcie tem dobrodziejstwem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 10 Stycznia 1885 r.

Pokutujące dusze — Ludwika Michelówna; śmierć jej matki. — Sprawa ulaskawienia. — Odpowiedź prezydenta Grévy'ego. — Przeszłość Wielkiej Ludwiki. — Teraźniejszość. — Opieka Rocheforta i cywilny pogrzeb matki. — Koniec dramatu na jawie i początek na scenie. — Nowa sztuka p. Sardou' Teodora. — Prassa paryska w wigilię pierwszego przedstawienia na scenie. — Sąd krytyki. — Treść i główne zarysy tej sztuki. — Przedsięwzięcia teatralny i pisarz dramatyczny; *sumum cuique*. — Dzisiejsza publiczność i przyszłość utworów dramatycznych. — Sąd przysięgłych w sprawie pani Hugues'owej — Uwolnienie oskarżonej. — Skandal.

Nie skończymy tego roku bez poświęcenia kilku przynajmniej słów naszej kroniki jednej z tych istot, które zdają się być nosobieniem na ziemi owych bolesnych cieniów czystościowych wywołanych jakby proroczym natchnieniem Dantego. Jego żałobny wiersz: *Nessun maggior dolore...* dzwoni jakby odgłos pogrzebowych dzwonów, zwołujących wierną drużynę do modlitwy i do zupełnego zapomnienia winy bliźniemu.

Mieliśmy tu już nieraz sposobność mówienia o kobiecie, która w ostatnim piętnastolecu odegrała we Francji pewną rolę wydatną w wypadkach dotyczących się kwestyi społecznych, których rozwiązanie prędzej czy później musi nastąpić w Paryżu. Ludwika Michel, znana na wyżynach Belleville'u i Villette'y, pod nazwiskiem *Wielkiej Ludwiki* (La Grande Louise) raz jeszcze a może już ostatni, ściągnęła na siebie uwagę publiczną i to z powodu najboleśniejszej straty, którą ją przywalił przekorny los jej życia.

Wiadomo już nam dobrze, jak wskutek ulicznych rozruchów dwa lata temu Ludwika Michel została skazaną na pięć lat więzienia, i jak ją odesłano do domu poprawy w Clermont, gdzie, przez wzgląd na stan jej zdrowia, dozwolono jej pewnych, odpowiednio dość cennych, jak dla więźnia, wygód. Zapomniana już prawie, bo tu nie potrzeba na to długiego czasu, Wielka Ludwika

żyła w tem osamotnieniu, jak żyje każdy z pozbawionych gwałtownie wolności i zaciągniętych do rubryki więziennej: spokojnie, jak w grobie. Na raz zbudziła ją z tego letargu wieść o ciężkiej chorobie matki. Paraliżem tknięta, matka Michel dogorywała w strasznej cierpieniu fizycznym, z powodu choroby, i moralnem, z powodu nieobecności córki zamkniętej w więzieniu.

Polityczni przyjaciele uwięzionej, z posłem Clémanceau i Rochefortem na czele, otrzymali pozwolenie, aby Ludwika mogła przybyć do umierającej matki, a choć pilnowana przez policję, mogła dopełnić najświętszego obowiązku i uczynić zadość potrzebom serca. Pozwolono jej więc ostatecznie ostatnie chwile tej matki, z którą aż do wypadków ostatniej wojny, przez więcej niż lat dwadzieścia, nie rozłączała się nigdy. Nakoniec dnia 3 Stycznia skończyło się wszystko: matka odeszła do Boga, Ludwika wróciła do więzienia S-go Łazarza (tymczasowo) — niewiadomo albo wiem, czy uda się jej przyjaciółom otrzymać zupełnie jej uwolnienie z więzienia. Rzeczpospolita nie ma i mieć nie może, jako osoba niefizyczna, tej tkliwości, dozwolonej nawet tyranom — *dura lex sed lex* — ale może ją mieć prezydent, o którym mówią, że miał w sprawie ulaskawienia o Ludwicę powiedzieć: „Oddałaby ona nam wielką usługę, gdyby chciała uciec”. Ale niestety! biedaczka nie może zadość uczynić temu życzeniu.

Ludwika Michel należy do najtragiczniejszych postaci naszego czasu. Narazie i przy powolnym rozwoju wypadków stała ta i jej znaczenie nie ma może tak bardzo jaskrawej barwy, ale kiedy czas przyćmi i zgasi to wszystko, co stanowi jej ramy, co jest jakby tem ogniskiem, w którym się pali salamandra społeczna: wtenczas dopiero ktoś wyprowadzi ją na wyższą, na czystsza widownię i pokaże światu, czego ta dziwna istota była obrazem.

Tymczasem my z naszej kroniki codziennej śpieszymy udzielić wam kilku szczegółów, póki nagorąco jeszcze mogą mieć swoje znaczenie. Pochodzenie jej wykracza ze zwykłej normy a przyszłość nie trzymała się tej kolei, jaką zapowiadał pierwotny kierunek życia, wskutek szczególnych usposobień, zdolności i nawet celów już wytkniętych.

Ludwika urodziła się dnia 29 Maja 1830 roku w domu, właściwie na zamku, de Vroncourt, posiadłości księcia de Mailly, gdzie matka jej była garderobianą; o ojcu niema wcale mowy, i tu może jest początek tego węzła, którym się splątało całe życie tej biednej kobiety, zadając kłopotwo przyszłowi, które powiada, że dzieci tego rodzaju mają szczęście do świata.

P. M. Mailly, ojciec dzisiejszego właściciela zamku, był wówczas pewnego już wieku człowiekiem, uchodził za oryginała i encyklopedystę. Sam się podjął wychowania maleńkiej Ludwiki, nie wdając się w to, co o tem powiedzą, tembardziej, że kochał dziewczynę, której żywa inteligencja z łatwością pojmowała i przyswajała sobie nauki starego pana. Wielbiciel J. I. Rousseau'a, pan de Mailly zaszczerpił w duszy swej uczennicy, z dobrze znanymi zasadami genewskiego filozofa, religijne zasady swojego rodu, od których może zbacał niekiedy co do formy, w jakiej wyrażał swe myśli, pozostawał im przecież wiernym w głębi duszy. Wszystko to zmieszało się w umyśle Ludwiki z późniejszymi wrażeniami życia: i wytworzyło coś w rodzaju mistycznej dążności, wyrażanej nieraz przez sławną agitatorkę obok najsłabszych zachcianek demokratycznych.

Po śmierci p. de Mailly, kiedy rodzina objęła rządy majątku i osiadła w zamku de Vroncourt, matka Michel i córka opuściły te strony i udały się do Paryża, gdzie ich skromne zasoby — powiadają albowiem, że stary encyklopedysta, umierając, zostawił im za całą spuściznę 300 fr. rocznej pensyi — zmusiły Ludwikę do szukania zajęcia i środków utrzymania dla siebie i dla matki.

Działo się to w 1850 r. Ludwika miała wówczas lat dwadzieścia i posiadała piękne i grunto-
wne wykształcenie. Znalazła zaraz wstęp do zakładu młodych dziewcząt, gdzie, jak powiadają, wiarogodne źródła, z wielką pilnością i poży-

kiem przygotowywała uczennice do pierwszej komunii.

Wykształcenie niepospolite i znajomość muzyki codziennie powiększały jej wziętość i rozszerzały koło jej działania. Katechizujący księża cenili bardzo wysoko pomoc, jaką im przynosiła młoda nauczycielka, i z prawdziwą wdzięcznością przyjmowali muzykę, którą im układała do okolicznościowych kantyczek, a nawet i do kantyczek przez siebie samą pisanych. Dyrektorka pensyi i dzieci lubiły bardzo swą, dziwną trochę, ale rozumną i miłą dozorczynię (*sous-maitresse*), i to jej utorowało drogę do późniejszej dyrekcyi pensjonatu w części miasta zwanej Montmartre.

Tak przeszły lata i wybuchła wojna 1870 i 1871 r.; po niej nastąpiła komuna paryska. Ta, skromna dotąd, dyrektorka pensyi, wygłosiła kilka odczytów w sprawie społecznych kwestyi, a kiedy te przyjęte zostały z wielkiem powodzeniem, przez wrażliwą publiczność przedmieściowej, biednej prelegentce zapaliła się głowa; jak starożytna Sybilla, zawrzała na swym trójnogu, zdało się jej, iż uczuła przytomność bóstwa, i rzuciła się w wir polityki z zamkniętymi oczami.

Odtąd rozpoczęło się dla biednej matki życie niewypowiedzianych cierpień, życie spokojne wspólne rozwiało się na cztery wiatry; pustka zapanała w skromnych izdebkach mieszkania, a ta bolesna krzyżowa droga miała się dopiero skończyć w mogile.

Po gorących chwilach szału i powodzenia, za czasów Komuny, przyszła bannicya do Kaledonii, po latach — powrót do domowej zagrody, do domowej? nie — do obcej, do najętej zagrody — polityczne agitacje, tryumfy klubowe, przejażdżki z klubów do kozy, z kozy do klubów i nareszcie zamknięcie w domu poprawy.

A kiedy śmierć zabrała matkę, i kiedy ta stara dziś już kobieta, rozczarowana i złamana ostatecznie, znalazła się sama na świecie, z jakimże to gorzkim uczuciem, z jakim mętnem spojrzeniem, musiała przebiegać nieraz tę długą drogę, od kolebki w zamku Vroncourt, od pierwszych pieszczot księcia de Mailly, aż do więzienia S-go Łazarza, dokąd ją nanowo napowrót zaprowadziła sprawiedliwość, wzbraniając jej nawet iść za trumną matki na cmentarz!

Kiedy Rochefort wszedł do pokoju, gdzie ta głoszna dziś kobieta siedziała przy zamkniętej i gotowej do ostatecznej podróży trumnie swojej matki, i oznajmił jej, że ma smutne zlecenie odprowadzić ją do więzienia S-go Łazarza.

— A, to ja — powiedziała spokojnie — będę cię prowadzić; bądź tylko łaskaw pójdz ze mną piechotą. — I tak się stało zadosyć i żelaznej sprawiedliwości i nieubłaganemu losowi sieroty.

Pogrzeb cywilny matki Michel odbył się pod rozporządzeniem i komendą Blanquistów i Anarchistów z przedmieść. Ciekawość co to będzie, sprowadziła kupę ludzi, różnego rodzaju. Za trumną szli: Rochefort, Vaughan i inni koryfeusze skrajnych stronnictw; była to, jak tu się mówi, familia zmarłej.

I oóż koniec tego dramatu. Matkę niosą na nogilki, zagorzałcy, którym ten trup tyle waży, ile piórko ptasie, córka zaś siedzi za kratą więzienia, a scena pierwsza — gdzie? W książęcym zamku i pod opieką, może i prawdziwą, nieklamanej miłości. Ale dziś koniec. Rozczarowana kobieta straciła wszelką uludę. Wszystkie te *fata morgana* rozwiały się, zniknęły; zamiast pałaców, czarownic sadow, rzeźwiących źródeł — step i step tylko życia jałowego, zapomnienie, obojętność; a jeśli się kto przypomni, to tylko, aby za kołnierz ciągnąć na klubowe rostra!

A ileż tu podobnych dramatów odgrywa się dokoła nas, na które nikt a nikt uwagi nie zwraca! Żadna fantazyja ludzka, żaden największy geniusz, podobnych nie stworzy. Ażeby wstrząsnąć ludźmi, jak drzewem jabłoni, dosyć jest jeden z nich ująć w należyte ramy, streścić rozwikłany wątek upływem czasu, stłoczyć tę treść do ostatniej essencji: a jak garstka dynamitu, cały gmach wysadzi w powietrze. Ale cała rzecz w umiejętności streszczania. Jest to największa sztuka, a tak rzadka na świecie.

Mamy żywy przykład, jak rzadka. Oto jeden z mistrzów Sceny Francuskiej daje nam dowód

tej prawdy. Streścił on, jedną z najdramatyczniejszych epok historii Wschodnio-Rzymskiego Państwa: a pomimo niezaprzeczonego talentu p. Sardou, zamiast wysadzić nas w powietrze, autor, my i sztuka, wszystko klapnęło o ziemię. A przecież niczego nie brakło: ani przyrządów, ani zasobów, ani rąk biegłych, ani sposobów odurzenia; wszystko było na zawołanie; od dwóch miesięcy prasa cała rozdmuchuje węgle i rozpala nasze ciekawość. Ale! ale, właśnie dlatego, że nadto sposobów, więc niema prawdziwej sztuki. Dramat rozplątał się, a zostały dekoracje, ubiory i aktorowie—i osłupiała publiczność, która nie wie: czy to jest prawda, czy żart tylko, wychodzi z teatru i z przestrachem otwiera gębę, nie wiedząc czy chwalić, czy ganić, czy śmiać się, czy płakać, na takie ją wpędzono bezdroża.

Ale powiedzmy, że chodzi tu właśnie o nową sztukę p. Sardou, pod tytułem *Teodora*, wystawioną d. 26 Grudnia w teatrze de la Porte-Saint-Martin. Ażeby zrozumieć mogli czytelnicy *Bluszczy*, do jakiej potęgi pochwalił podniesiono *ad hoc* powszechny głos dzienników paryżskich i to przedtem, nim jeszcze sztuka odegrana została, dosyć będzie przytoczyć tu słowa jednego z koryfeuszów krytyki artystycznej. Oto jest dosłowne tłumaczenie tego madrygału:

„Sztuka taka, jak *Teodora*, podpisana jednym z największych imion naszej epoki, przedstawiona przez jednego z ludzi najlepszego smaku z naszych czasów (chodzi tu o reżyssera teatru), odegrana w głównej roli, przez największą artystkę świata całego—takie przedstawienie, taki wiecór, staje się natychmiast sprawą pierwszorzędną. W podobnych okolicznościach nie idzie wcale o mniejszą lub większą przyjemność, jaką nam sprawi to nowe dzieło, ale o mniej lub więcej blasku, jakiego ono przyczyni całemu Paryżowi (!): wiemy my dobrze, że ten wieczorek paryżki, jest w pewnym względzie, wieczorkiem całej Europy; że jutro obudzi echo w czterech częściach świata... bo telegraf rozniesie wszędzie sześcioliwą nowinę!”

Jeżeli, po tego rodzaju pochwałach, i w takiej zażytych dozie, publiczność zachowałaby jeszcze choć trochę trzeźwości umysłu i zdrowego sądu, byłoby to fenomenem niesłychanym w świecie. Dyrekcyja więc, a z nią autor, mogli być pewni wygranej, bo tu głównie chodzi o wygraną, to jest o gotówkę płynącą do kasy. Jakkolwiek Sardou jest popularnym, nigdy tak jednomyślnie zgody nie znalazł w dziennikach, a szczególnie w dziennikach skrajnych opinii. Jednomyślność dziś objawioną zaskarbiła zręczna dyrekcyja.

Teraz powiedzmy słów kilka o samej sztuce. Czy jest to dramat? i jaki? czy historyczny? jak autor pojął i jak wytworzył obraz, wzięty z rzeczywistości?—bo jesteśmy tu, nie w bajecznych czasach, ale w epoce, pewnej i dobrze wiadomej historii. Owóż główne osoby są następne: Justynian, Cesarz Wschodniego Państwa; Cesarzowa Teodora Augusta, jego żona; Belizaryusz, naczelny wódz, i Antonina jego żona; Andreas równie znakomity pisarz i retor, jak dzielny wódz na polu bitwy, i t. d.—są to więc historyczne postacie.

Ale natych imionach tylko kończy się historia, i jej rzeczywiste tradycje; reszta, jak się to zwykle i technicznie nazywa *fabula*, jest prawdziwą bajką i wymysłem autora. Zapewne ma on do tego niezaprzeczone prawa, byleby wymyślona bajka była prawdziwym artystycznym pomysłem i aby w głównych zarysach, nie kaleczyła pomysłu podanych historycznych, kiedy chodzi o takie osobistości, jak: Justynian, Teodora, Belizaryusz i t. p., czego najmniej można wymagać od autora, jest to poszanowanie prawdy.

Dramat p. Sardou, wyjęty z jaskrawych i błyszczących ram wystawy, ceremonii, marszów i kontrmarszów, na scenie, redukuje się do następnej treści: Opierając się na dzieło, znanem pod tytułem: *Anekdoty*, współczesnem, albo bliżkiem czasów Justyniana, ale nienawistnem dla tego cesarza, p. Sardou przypuszcza, jako niezbyt pewnik, że Teodora była prostą ulicznicą i do posłubienia jej przez cesarza Justyniana, a nawet i po posłubieniu, nie przestała być takimsamym rarogiem. Widzimy ją więc rozkochaną w młodym i pięknym Greczynie, nazwiskiem Andreas;

ten wybrany jej serca, i który ją zna jedynie pod przybraną nazwą „Myrthy“, oprócz innych zalet posiada i tę, nieoszacowaną dla cesarzowej, że jest przewodzącą spisku na życie Justyniana. Po rozmaitych wypadkach i przejściach, gdzie Teodora używa wszelkich sposobów do ocalenia głowy ukochanego Andreasa, nawet takich, jak zabicie własną jej ręką na scenie dowódcy gwardyi cesarskiej, który mógł zdradzić jej kochanka, kochanek ten dowiaduje się nakoniec: kto jest owa tajemnicza „Myrtha“—a więc nienawidzi jej, gardzi nią, znieważa... i daje hasło do wybuchu sprzysiężenia w Hippodromie. Tu, schwytany przez policję, kiedy sama cesarzowa próbuje go ocalić—pluje jej w twarz nową zniewagą i otrzymuje tak gorąco żądane więzienie.

Tymczasem walka się toczy na ulicach Konstantynopola i wśród zamętu Andreas uwolniony potajemnie przez Scholarchów (Σχολάρχης) gwardyi, którzy są po stronie spiskowych, ucieka. Niejaka „Thamyris“ ukrywa go w podziemiach Hippodromu.

Ta stara powiernica przeszłości cesarzowej, którą znała dawniej pod przybranym imieniem Myrthy, dziś świadoma jej godności idzie ją prosić o przebaczenie dla Andreasa, a wzamian przynosi jej cudowny miłosny napój, o który ją dawniej prosiła zakochana Myrtha—i który na wieki przykuć ma do niej wiernego cesarza.

Teodora każe starej Thamyris prowadzić się do tajemnej kryjówki Andreasa łudząc się nadzieją, że otrzyma nakoniec przebaczenie swych zbrodni i że się w tej miłości odrodzi i oczyści! Ale Andreas jest niewzruszony: odpycha i znieważa miłość i ofiary cesarzowej, a ta, korzystając z chwili osłabienia kochanka, podaje mu napój przygotowany przez starą czarownicę. Andreas wypija podaną czaszę i, jakby piorunem rażony, pada u nóg osłupiałej Teodory; albowiem Thamyris, której syn schwytany wśród powstańców, został straconym z rozkazu cesarza, chciała się zemścić na Justynianie i napój podany cesarzowej był okropną trucizną!

Ale sztuka nie mogła się skończyć na śmierci epizodycznej postaci Andreasa, a więc autor porucza zakończenie Justynianowi. Ten przejrzał nakoniec, a widząc co się dzieje, i czego się dopuszcza dawniejsza dama z cyrku, pobudzony straszną nienawiścią, postanawia jej zgubę. W chwili więc zgonu Andreasa drzwi podziemia otwierają się nagle, przed Teodora staje kat i z rozkazu cesarza podaje jej strzykawkę z czerwonego jedwabiu... Występują żona zdejmując delikatnie naszyjnik perłowy, pada na kolana przed trupem kochanka i wyciągając szyję: „Czyn, powiada do kata, jestem gotowa!”

Taka jest treść tej sztuki,—bo nie można tego nazywać dramatem,—która według słów znakomitego krytyka, okrywany sławą Paryż i Francją, ma świat cały napelnąć zdziwieniem! I jest czemu dziwić się zaprawdę, bo ta bajeczka, w której jeden z wielkich cesarzy wschodniego państwa występuje w roli pierwszego lepszego paryżskiego mieszczanina, rozprawdzone *ad usum* kassy, podaje się publiczności w 5-u aktach i siedmiu obrazach.

Pierwszy i drugi obraz, ogromna sala Bizantyńska w pałacu cesarskim, i mieszkanie przy Hippodromie starej czarownicy Thamyris—to jest ekspozycja dla oczu widzów—tajemnic i blasku bizantyńskiego.

W trzecim obrazie znajdujemy się w mieszkaniu Andreasa; jest to słynny przewodnik sekty Hellenistów to jest stronnictwa, które marzy o odrodzeniu i odbudowaniu starej Grecji. Wszystko to jest w najczystszy styl greckim, i w przeciwieństwie ze Szkołą Bizantyńską. Jesteśmy tu na radzie spiskowych. W liczbie główniejszych znajduje się właśnie ów Marcellus, dowódca gwardyi cesarskiej. Zgromadzeni postanawiają porwanie Justyniana i rewolucją, mającą spełnić ich zamiary.

Po rozejściu się Andreas daje wejście bocznymi drzwiami kobiecie w obłonach. Jest to dla niego Myrtha, wdowa doświadczona i mająca poślubić starego jubilera, nazwiskiem Phokasa, narzuczonego jej przez rodzinę. Trochę może za późno, ale tu się dopiero zawiązuje prawdziwa akcja sztuki. Bunt się już rozpoczął i walka za-

palila się pomiędzy dwoma stronnictwami sławnymi w Bizancjum *Błękitnych* i *Zielonych*. W tajemnem ukryciu kochankowie słyszą wrzawę walczących i chór spiskowych, którzy, przeciągając ulicą, śpiewają haniebną jakąś piosenkę na cesarzową—i w chwili, kiedy przerażona Teodora słucha jej ze wstrętem, Andreas, uszczęśliwiony, powtarza haniebną zwrotkę.

Czwarty obraz wprowadza nas do złotego triclinium w cesarskim pałacu Magnaura, dzisiejszym Dołma Baczce. Justynian i Teodora, po losyć brudnej a powszedniej scenie zazdrości, jakby podsłuchanej w alkwie bławatnego sklepu, przy ulicy St. Denis w Paryżu, kończą to zajście odkryciem spisku, o którym Teodora pierwsza zawiadamia cesarza. Tu sceny cisną się jedna za drugą. Ledwie wskazany spisek, już wybucha. Triclinium wypełnia się dygnitarzami i wojskiem. Belizaryusz wpada, trzymając za kołnierz Marcellusa, dowódcę gwardyi, który wzywa na pomoc Andreasa. Imię to obudza uwagę Teodory—i cała zawierucha kończy się śmiercią generała, którego, aby nie zdradził Andreasa, własną ręką, zapomocą szpilki wyjętej z włosów, cesarzowa zabija na scenie!!

W piątym obrazie jesteśmy znowu w domu Andreasa, tak cudownie ocalonego z pałacowej zasadzki, ale teraz już w ogrodzie tego domu, ze ślicznym, trzeba oddać sprawiedliwość dekoratorowi, ze ślicznym widokiem na Bosfor i Propontydę. Spiskowi przyniesli tu zwłoki zabitego Marcellusa, i sprawiają mu ateński pogrzeb. Tu wśród tej dziwnej ceremonii zjawia się znowu Teodora, w postaci Myrthy. Przychodzi ona ocalić kochanka, przygotować mu bezpieczne schronienie i otrzymać tymczasem przyrzeczenie, że dnia następnego nie ukaże się bynajmniej w hippodromie. Po jej wyjściu spiskowi dowodzą Andreassowi, że jest igraszką awanturnicy—i że zdrada wczorajsza musi być jej dziełem. Andreas, przekonany w końcu, postanawia wybuch naza-jutrz—do którego sam da hasło w hippodromie.

Obraz szósty przedstawia łożę cesarską w hippodromie, tak zwaną „katizma“. Jeżeli tu restauracyja bizantyńskiej starożytności nie jest może bardzo skrupulatnie prawdziwą, ma przecież wielki sceniczny efekt. Cesarz cesarzowa, dworzanie siedzą w łoży, w pysznych, jak firmament jaśniejących, strojach. Za danem hasłem bunt się podnosi i powstaje walka. Ale już Belizaryusz obmyślił wszelkie środki do jej stłumienia. Naraz gwardya chwytą człowieka, który się odznaczał gwałtownością i zuchwalstwem nad miarę, i związanego, drgającego rzuca pod nogi cesarzowi. Teodora poznaje w nim Andreasa i staje pomiędzy nim i katem. „Zostawcie go mnie!—woła—ten człowiek do mnie należy; niech go skrępują i zatkną mu usta.“ A kiedy się bój wzmacza wokoło, ona mu szepcze do ucha, że jego zbawienie jest dla niej wszystkim.

O siódmym obrazie, a V akcie sztuki, mówiliśmy już wyżej. Nie będziemy więc powtarzać tutaj; czytelnicy wiedzą już, jak się ta sztuka kończy.

Taki jest układ dramatu (używamy tego wyrazu, bo niema innego lepszego ogólnika dzisiaj), a wiedząc, jak się rzeczy mają, dodajemy, że tu nie chodziło wcale o doskonałość, ale o jego zastosowanie najlepsze do pomysłów przedsiębiorcy teatru, który blaskiem wystawy i wyborem aktorów pragnął zachwycić i przyciągnąć publiczność, której nie chodziło wcale o literaturę, ale o nasycenie oczu... o efekt!

Ale zostawmy tu głos samemu Francuzom; posłuchajmy, co oni mówią, i jak sądzą o tem. Oto są już słowa jednego z krytyków bezstronnych—*rara avis!*

„Dzisiaj ten rodzaj teatru, jest to prawdziwa partyjka w bakara¹⁾. Czy wyciągnę piątkę czy nie wyciągnę?—wszystko się redukuje do tego. Sztuką prawdziwą głęboką, szczerą, uczuciem ludzkim, jego wyrażeniem, jego objawami, niezliczonemi, doskonałemi,—tyle się zaprzatają, ile przeszłorocznym śniegiem“.

„Wydrukować na afiszu nazwisko pierwszorzę-

¹⁾ Nasz stary, udoskonalony *Kwinteczek*.

dnej artystki, zawalić scenę złotem, jedwabiem, aksamitami, błyskotkami, szychem, urządzić wspinałe orszaki wojskowe, rozstawić tłumy chórzystów: oto rzecz główna. Wysiłają się na takzwane restauracje historyczne, które jakkolwiek bądź są i pozostaną fałszywymi, ze szczegółami, które nie przystają do miary, i z anachronizmami, które do rozpacz przyprowadzają prawdziwych erudytów. Na złotem tle przylepiają, jak w bizantyńskich obrazach, jedną lub dwie postacie — i to się zowie tu obrazem, a tam sztuką — biedny teatr!

I tak jest w rzeczywistości. Jest to bowiem raczej jedna tylko rola, napisana dla Sary Bernhardt, aniżeli dramat lub sztuka. Występuje tu ona, w coraz nowem przekształceniu, jak w owych sztukach o rozmaitych zmianach kostiumów; tylko tu zmiany są zmianami charakteru i ducha. Wspaniała to rola dla wielkiej artystki, która w ciągu jednego przedstawienia przechodzi od śmiechu do łez; naśmiewa się, to znów lamentuje; zabija jak kat, to się mizdzy bezczelnie, to kona z przestachu; aż wreszcie nakoniec w ostatnim jęku miłości rezygnuje się zwalczona, przybita i wyciąga szyję do stryczka.

Tak, wspaniała rola, ale tylko dla jednej, jedynej aktorki. Reszta należy się maszyniście, krawcowi, a nadewszystko dekoratorom. Dramat ten, wyjęty z tych ram bogatych de la Porte St. Martin — będzie lichotą, która się nigdzie i nigdy nie utrzyma na tutejszej scenie. Kiedy wam powiem, że dwie trzecie publiczności leci, aby zobaczyć pałace złociste Byzancjum, i ów płaszcz Sary Teodory — „okryty złotem i pszczołami, jaśniejący ciemno-czerwoną barwą, nie tę przecież pospolitą czerwienią, którą przywodziwają wszyscy królowie na wszystkich scenach świata, ale tym karmazynem przyśmionym, srogim z pozoru, który tworzy jakby posępną ale harmonijną plamę w tej czarodziejskiej całości” — powiada rozczulony krytyk (który kosztował — dodają zakulisowe szmery — dwadzieścia tysięcy franków, więcej o 6 tysięcy od samego płaszcza): kiedy wam to powiem, możecie mi wierzyć, bo jest to jeszcze dalekie od rzeczywistości! I ja powtórzę: biedny teatr!

Kiedy dekoracje zastępowali najęci z ulicy ludzie; gdy ten przedstawiał mur, tamten drzewo ten dom, a ów most zwodzony; kiedy aktorka w starym prześcieradle występowała pomiędzy trzema zasłonami z szarego płótna, jako królowa Argos: wówczas potrzeba było być Sofoklesem. Shakespeare, Calderon albo Corneille'm, aby pisać dramata i tragedye. Dziś dekoracje, to jest obrazy z natury, wspaniałe szaty, bogate sprzęty, a wszystko niby z owego czasu, obejdzie się bez geniuszu poety i pisarza. Dostyć zebrać i zlepić, jak pierwszą lepszą powieść, o resztę się publiczność nie troszczy. Teatr idzie od tego, że się stanie widowiskiem dla oczu. Będzie to teatr przyszłości i nowych społecznych pokładów.

Korzystam ze spóźnionej trochę korespondencji swej, żeby wam donieść, iż sprawa pani Hugues'owej o zabójstwo agenta Morina zakończyła się absolutnem rozgrzeszeniem oskarżonej przez sąd przysięgłych. Z ogólnego nastroju spodziewano się takiego końca, a skrajne dzienniki domagały się tego bez ogródek! We wszystkich gazetach znajdziecie szczegóły tej sprawy, z wyjaśnieniem skandalów wywołanych tak przez zachowywanie się publiczności — jakiej publiczności! — jak i samej oskarżonej. Niema co ukrywać: zjeżdżamy w błoto! Czyżby sprawdzić się miało: *Quem Jupiter perdere vult, prius dementat*.

Tak się kończy wielki nawias mego listu: pomiędzy rozczarowaną i żalującą za grzechy w więzieniu L. Michel, żalującą, że zbyt ukochała, jak Magdalena, Demosa, a rewolwującą i tryumfującą Marsylianką, widzimy ubóstwianą parzyką aktorkę okrytą płaszczem Cezarów — no, ale tylko na scenie!

Kronika działalności kobiecej.

— Doroczna Wystawa zwierząt domowych, urządzana na Polach Ujazdowskich przez Towarzystwo Wyścigów Konnych zostanie w tym roku połączona z Wystawą Rolniczo-Przemysłową, otwartą w dniu 10 Czerwca, a zamkniętą w d. 15 tegoż miesiąca. Wystawa Rolniczo-Przemysłowa może objąć wiele okazów pracy kobiecej, zwłaszcza w dziale III-im: rękodzielniczo-rzemieślniczym, gdzie nawet programmat wystawy szczegółowo wymienia pewne działy wyłącznie kobiecej pracy, jako to: gotowe ubrania kobiet i dzieci, bieliznę, hafty, koronki, kwiaty sztuczne. Dział IV-y, obejmujący fabryczny przemysł tkacki, mieści w sobie pończosznicstwo, które u nas zajmuje znaczną liczbę kobiet, przymem daje pole do wystawienia konopi, lnu i jedwabiu. W dziale V-m przy wystawie szkła, porcelany i majoliki, może przedstawić się malowanie kobiece na wyrobach z tych materyałów. Dział VI-y spożywczy obejmuje przerobę z ziarna, mleka, mięsa, miodu, cukru, owoców; więc pieczywo domowe, masło, sery, wędliny i rozmaite konserwy z mięsa, z owoców, z jarzyn, pierniki i t. d. Dział IX-ty ogrodnictwo, obejmuje kwiaty, nasiona roślin, warzywa i owoce odpowiednie porze roku, krzewy i drzewka owocowe przy rozmaitych sposobach ich prowadzenia; rośliny pożyteczne dla pszczół i jedwabników. Narzędzia i przyrządy ogrodowe; plany i projekta urządzeń ogrodów. Dział XII-y oddany drobnemu przemysłowi wiejskiemu i małomiasteczkowemu, mieści wyroby z konopi, lnu i wełny, więc włókno, przędzę, płótno, domowe tkaniny wszelkiego rodzaju i ubiory z nich, przymem wyroby ze skóry, z drzewa, koszykarstwo, sitarstwo. Wymieniamy tu przedmioty wchodzące w zakres pracy kobiecej, dodając, że są jeszcze oddziały rybołówstwa, jedwabnictwa i pszczolnictwa, gdzie kobieta może też w zakresie pracy swojej stanąć jako wystawczyni. Wystawa żywego inwentarza, obejmująca dział XIII-ty, odbywać się będzie od dnia 14 do 21, i jak corocznie okazami jej są: I) konie: powozowe, robocze i wierzchowe; II) bydło rogate; III) owoce; IV) rzodka chlewna; V) drób, psy i kroliki.

Na łokieć kwadratowy przestrzeni pod dachem i z pomostem, wystawca płaci 5 zł., pod gołem niebem 50 gr. Wystawcy mogą stawiać własne pawilony, za porozumieniem się z komitetem i z budowniczym wystawy. Ostateczny termin nadsyłania deklaracji jest po dzień 1 Kwietnia, z wyjątkiem działu ogrodnictwa, który może nadsyłać deklaracje najpóźniej do dnia 1 Marca. Adres, pod którym deklaracje przysyłać należy, jest: „Do Komitetu Wystawy Rolniczo-Przemysłowej w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 36 (pałac Augusta hr. Potockiego).

Panie nasze wiejskie, procz zajęcia się wystawą na własny rachunek, nie dla próżności i chęci pokazu, ale dla ożywienia ruchu gospodarczego, dla podniety i względu na ekonomiczne dobro kraju, powinny zarazem w imię obowiązku obywatelskiego zająć się troskliwie wystawą pracy włóścianek i mieszkanek wiejskich w małych posiadłościach, zachęcając, udzielając rad i wskazówek, ucząc przykładem. Siostry jesteśmy wszystkie, tylko jednym przypadkiem miejsce wyższe na szczeblach drabiny społecznej, i te mają obowiązki swoje, wynikające z praw tego wyższego stanowiska. Nie schyla się nigdy ten, kto na dół zstępuje, aby innym do podniesienia się rękę podawać, a dobrej chrześcijanki, dobrej obywatelki to powinność, aby się od takiej uczciwej działalności nie uchylać i do najświętszych obowiązków swoich ją zaliczać.

— W ostatnich dniach ubiegłego roku zmarła Teresa z Pruszków Mleczkova, zajmująca się od 1870 roku pracą ochraniarki wedle systematu Fröbla, który to systemat ona pierwsza u nas w ochronce przy ulicy Królewskiej zastosowała. Zakład swój, mieszczący się obecnie przy ulicy

Danulowiczowskiej, zdała umierając, zaufanej pomocnicy swojej, p. Emilii Sierpińskiej.

— Wedle ostatniego spisu ludności, dokonanego w 1883 r., Warszawa liczy 210,871 kobiet, że zaś mężczyzn jest 194,018, zatem przewyżka ludności niewieściej wynosi 16,853 osób. Spis poprzedni z 1872 r. wykazał 148,609 kobiet, 127,590 mężczyzn, czyli 21,219 kobiet więcej. Zmiana w stosunku wpływa zapewne przez pomnożenie się ludności napływowej, która zawsze liczy więcej mężczyzn niż kobiet; w każdym razie miasto nasze mieści w sobie co najmniej 16,853 kobiet, które muszą same zapracować na utrzymanie swoje.

— W Wenecyi zmarła hrabianka Loredana Morosini, i jako ostatnia ze swego rodu, zapisała miastu ogromne i znakomite zbiory swoje w obrazach i posagach, w zbrojach, chorągwiach i tym podobnych przedmiotach starożytnych, oraz pamiątkach po wielkim przodku swoim, doży Franciszku Morosini, z przydomkiem Poloponezkiego, nadanym mu w skutek bohaterskiego zdobycia Morei na Turkach. Wielkoduszny ten wojownik był stałym sprzymierzeńcem Jana Sobieskiego, co praprawnuka jego, żyjąca duchem w przeszłości, miała tak troskliwie zapisane w pamięci, że bardzo utrudniony dostęp do jej skarbów, był dla Polaków w wyjątkowy sposób ułatwionym, szczególnie do sal zawierających zbrojownię i trofea zdobyte na Turkach. Loredana Morosini nigdy nie była zamężna, żyła zupełnie samotna, od ruchu świata odsunięta i uchodziła w Wenecyi za dziewczkę, choć było to głównie serce ciężko zranione, istota biedna, przypominająca posępną postać Alberta z *Consuelo*: była bowiem córką Włoszki, ostatniej z rodu bohatera, i Niemca, austriackiego hrabiego von Getterburg. Młodość jej przypadła na tę chwilę właśnie, gdy duch włoski zrywał się i szamotał z przemocą Niemiec, i małżeństwo matki, wydało się w oczach córki zbrodnią. Mając sobie przez kontrakt ślubny rodziców zapewnione prawo do podwójnego nazwiska nie używała nigdy ojcowskiego i całą namiętnością gorącego serca czuła się córką Morosinich. Matka jej umarła nagle, czytając książkę, więc bez spowiedzi, bez absolucyi ostatniej i córka, bardzo nabożna, a razem bardzo nieszczęśliwa, dała się unieść bolesnej exaltacyi i jako pokutę za grzech matki — za grzech, którego źródłem była miłość, skazała się na życie samotności: uczyniła się pustelnicą wśród wspaniałe pysznego swego pałacu. Gmach ten ogromny, cały z marmuru, jest jeszcze w tej chwili takim, jakim był dwieście lat temu, bo nie zmieniono w nim nic, nie ruszono z miejsca żadnego sprzętu, i Loredana Morosini pokutująca za matczyne przeniewierzenie się przeszłości, nie wyszła z niego od jej śmierci, to jest od lat dwudziestu. Przez lat dwadzieścia nie przyjmowała tu nikogo obcego, prócz spowiednika swego, proboszcza przy kościele św. Stefana, do którego parafii należała. Wenecya odżyła tymczasem i zlała się z włoską ojczyzną, ale ona już nie wyszła ze swego grobu: ona, mająca w żyłach krew ojca Niemca. Skarby historyczne uratowała dla Wenecyi, ale wielki jej majątek przejdzie zapewne na Getterburgów, w braku równie blizkich krewnych ze strony macierzystej. Umarła sędziwa, bo siedmiedziesięcioletnia; nigdy przez życie całe nie podpisała się Getterburg. Poznając tragedję tego życia, uczuwa się mimowoli pragnienie, aby takie genialne pióro jak Sanda, unieśmiertelniło jej postać, unosząc ją w krainę ideału gdzieby była świętą siostrą czeskiego pokutnika, nie za winy, ale nieszczęście swoje. Istnieje legenda, jakoby Loredana Morosini za dziewczęcych lat swoich, wkrótce po 1831 r. poznała w Wiedniu i pokochała młodego Polaka, którego pragnęła poślubić, ale ich rozdzielono. Chciała dać się wykraść ukochanemu, ale ona była wielką panią, bogatą na miliony, a on ubogim, bez domu wędrowcem wśród szerokiego świata — i cofnął się. Niemieckie pisma nazywają go „Lacki“ czy nie jest to może „Łacki“.

— Włoski minister, Coppino, wprowadza naukę języka i literatury, tak łacińskiej, jak greckiej do szkół żeńskich na ten sposób, jak do szkół męzkich, pragnąc by uczynić niezbędną częścią każdej nieco już wyższej edukacyi kobiecej, co

też już staje się faktem. Jest we Włoszech kilkakaset kobiet, uczęszczających do uniwersytetów, i niemal wszystkie są zapisane na wykłady języków i literatur starożytnych. Coppino twierdzi, że zwrócenie się młodzieży włoskiej do kolebki starej historii i cywilizacji włoskiej, tak rozbudzi jej patryotyzm, że żadne już działania kosmopolityczne, ośrodkowe, wpływu swego nie wywra. W drugiej już rzymskiej szkole rządowej dla dziewcząt: *La Palombella*, otwarte zostały kursa łaciny i greczyzny, które wyklada, podobnie jak w pierwszej, Giulia Cavallari. Pani ta pisze po łacinie bardzo czystym, pięknym stylem i wydała na użytek swych uczennic książkę w tym języku przez siebie napisaną.

— Dla uczennic berlińskiej wyższej szkoły, Lyceum Wiktorya, rozpoczął się z dniem 3 Stycznia r. b. drugi kurs higieny w farmakologicznym instytucie uniwersytetu, obejmując w dwunastu odczytach przedmioty następujące: „Oko i jego pielęgnowanie“; „Zgęszczenie powietrza“; „Budowa ludzkiego ciała“; „Przemiany powietrza przez proces oddychania“; „Krew“; „Serce“; „Łączność tych organów z oddychaniem“; „Szkodliwe przymieszki powietrza (trujące gazy, kurz i organiczne grzybki)“; „Wentylacja“; „Ogrzewanie i oświetlenie“; „Dezynfekcja“. Dla niektórych stowarzyszeń kobiecych przystęp na odczyty otwarty jest za opłatą 5 marek za kurs cały. Czyby i u nas nie można urządzić podobnych wykładów, wspólnie dla wszystkich szkół kobiecych, z przystępem dla kobiet z miasta, zapisujących się na kurs cały?

LISTY Z CZECH.

Towarzystwo czeskich kawalerów. — Czeszki; dawniejsze i teraźniejsze stosunki. — Wielkie i małe wieczorki towarzyskie. — Jubileusz: pieśni „Kde domow muj“, i „Hej Slavane“. — Samo Tomaszik. — Wdzięczność narodowa. — Po 50 latach. — Teatr narodowy. — Intrygi zakulisowe. — Młoda artystka. — Kaprysy. — Gość warszawski. — Czeski klub amerykański Naprstek. — Z literatury: Vrchlicki i Swatopluk Czech. — Dzieło o Szląsku. — Kalendarz. — Mazur w Czechach.

Przed paru tygodniami wszystkich przechodniów zaciekały na ulicach Pragi ogromne plakaty, z bijącym w oczy napisem: „Do czeskich kawalerów“. Przed każdym kupili się ludzie, skwapliwie czytając, co to takiego ogłasza się kawalerom czeskim po rogach prastarych ulic prazkich. Większość przechodniów przeczytawszy długą odezwę, opatrzoną mnóstwem podpisów, śmiała się i szła dalej, ruszając ramionami; czytały również przechodzące panie i panny, podobnie uśmiechając się, chociaż więc czytanie afiszów nie stanowi mojej ulubionej lektury, zatrzymałem się i ja, aby przeczytać, co to jest? Ah! rzecz okropna! Bunt, zamach niesłychany na nasze nadozne dziewice, przez kogóż przecież wymierzony? Oto dwudziestu, poniżej podpisanych kawalerów, oświadczało w tej odezwie, że nie są zadowoleni z panien czeskich, co z żalem podają do wiadomości publicznej, z tym celem przecież, aby złe zmieniło się na lepsze i aby rozpoczęła się nowa epoka dla dziewczycy czeskiej, do czego zaraz podanym został sposób działania. Istnieje w Czechach czterystysięce rozmaitych stowarzyszeń: czytelnicy, biesiadnicy; czyżby zatem nie mógł się zawiązać jeden jeszcze związek patryotycznych kawalerów, którzyby kształcili czeskie panny, przelewając w nie ducha swego, nie tylko w patryotycznym, ale i w towarzyskim kierunku? Podpisanych dwu-

dziestu panów tworzyłoby komitet *stowarzyszenia czeskich kawalerów*, które działając nie tylko na Pragę, ale i na prowincję czeską, mogłoby ogarnąć co najmniej 10.000 kawalerów, pragnących kształcić patryotycznie młode panny, a wtedy co za wpływ takiej działalności, co za skutki! — Korrespondent nasz zna kilku z podpisanych i może powiedzieć o nich z ręką na sercu, że są to wcale nieźli młodzieńcy. Niektórzy z nich są nawet ładnymi chłopcami, ale znajdują się tam i tacy, którym-by nie szkodziło, gdy czeskie panny założyły towarzystwo kształcenia kawalerów. W każdym razie podajemy cały ten fakt dla ścisłości korespondencji naszej, sądząc, że czasami wolno ją urozmaicić wesołą anegdotką.

Kilka tygodni już upłynęło od chwili ogłoszenia tej odezwy, lecz jakoś nie słychać, aby owych dwudziestu kawalerów pociągnęło za sobą innych, że zaś tymczasem nadszedł karnawał, więc sądzić trzeba, że w Sali Zofijskiej przyjdzie do pożądanej zgody między wojującymi stronami, a to tem więcej, że panny nasze mają chęć wesoło czasu używać. Pojednanie niewątpliwie nastąpi nawet między tymi, którzy ową odezwę podpisali, a temi, co ją przeczytawszy, gniewnie zdeптаły nóżkami.

A należy też poważnie tu dodać, że już takie rzeczy stają się w Czechach nie potrzebne, gdyż, jak we wszystkim jest u nas i pod tym względem wielki postęp i przesadne narzekania na czeskie kobiety już dziś nie mają podstawy, jak to przyzna każdy, kto zajrzy w głąb czeskiego życia. Czeszki były takimi, jakimi być jedynie mogły. Jeżeli, ogółem biorąc, mniej poczuwały one pociąg do życia towarzyskiego, odpowiadało to tylko dawniejszym stosunkom. Czechom, w niedawnej jeszcze przeszłości, potrzeba było przedewszystkiem kobiet cichych, skromnych, którym najdroższą rzeczą byłoby ognisko domowe, któreby gospodarstwo dobrze prowadzić umiały. Naród potrzebował głównie kobiet, któreby umiały wykształcać w cichości *charaktery* — tak, przede wszystkim *charaktery*.

Dziś stosunki się zmieniły, prąd życia chce sobie wyłobić łożysko szersze i ztąd ogólne pragnienie pożąda coraz więcej. Kwestya przecież zasadza się na tem: jakimi środkami należy nam iść do celu i jak dorobić się towarzyskiego życia? Ale Czeszki dadzą już sobie radę.

Ze tak jest, mieliśmy w tych dniach sposobność przekonania się o tem w sposób bardzo miły. Kilka zamożniejszych rodzin prazkich urządziło *wspólnie* wieczorek, na który zaproszono ze 300 osób. Znajdowało się na tem sympatycznym zebraniu wiele wybitnych osobistości: posłowie (Riger, Tonner), profesorowie, literaci, artyści, kompozytorowie muzyczni, malarze, kupcy, wojskowi (generał Mirohowski, który mówi też wybornie po polsku), książę Schwarzenberg i inni. Dam było ze sto; jednym słowem nie brakowało niczego, co razem stanowić może dobrane towarzystwo. Komu chodzi o strojność, to były tam i piękne toalety. Rozmowa przy herbacie szła żywo i wszyscy bawili się wybornie. Mówiono o literaturze, o sztuce, a nawet o polityce; grano na fortepianie najświeższe utwory Dworzaka, Stropnicki zaśpiewał kilka pieśni ludowych i tak dalej. Obecne panie dowiodły faktycznie, że stowarzyszenie kawalerów mające je kształcić jest zbytecznym.

Takich wielkich towarzyskich wieczorków być ma tego roku kilka, i głównym ich celem jest to, aby na ich wzór tworzyły się „mniejsze grona towarzyskie w rodzinach“. Skutki pojawiają się już teraz, kilka celniejszych rodzin prazkich urządziło w domach swoich regularne przyjęcia wieczorne, skromniejsze wprawdzie, lecz niemniej

przyjemne i serdeczne. Rozumie się samo przez się, że przy takim stanie rzeczy, bardzo upadnie ruch klubów, besed i t. d., których dotąd mamy w Czechach liczbę niesłychaną; tam bowiem koncentrowało się prawie do ostatnich czasów wszelkie towarzyskie życie czeskie. Z licznych klubów i besed czeskich w Pradze prawie jedna Re-sursa mieszczańska nie upadła i zachowała dotychczas pierwotne, doniosłe swoje znaczenie.

Już w jednym z poprzednich listów nadmieniliśmy, że epoka nasza jest epoką jubileuszów. Co chwila obchodzimy jaką rocznicę pięćdziesięcioletnią lub stuletnią, składając hołd idei nieprzerwanego życia w najrozmaitszy sposób. Nic to dziwnego i wynika to z naturalnego stanu rzeczy, gdyż obecnie dobiega pierwsze stulecie od czasu powstania tych ideałów, które na horyzoncie czeskiego życia pojawiły się jutrzeńką; z tych zaś jubileuszów nie ostatnie miejsce zajmują półwiekowe pamiątki dwóch pieśni czeskich, które ściśle są związane z wszelkiem życiem narodem w Czechach w ostatnich czasach. Właśnie w końcu przeszłego roku dobiegło lat 50, jak raz pierwszy zabrzmiał nam narodowy hymn czeski „Kde domow muj?“ i druga najpopularniejsza pieśń czeska „Hej, Slavane!“

Niech nam wolno będzie w krótkich słowach zanotować historią obu tych pieśni.

Otóż dnia 21 Grudnia 1834 r. przedstawiono na ówczesnym biednym teatrze czeskim oryginalną sztukę: *Fidlowaczka*. Text napisał jeden z najzaciejszych Czechów, powieściopisarz i autor licznych utworów dramatycznych, K. Tyl, muzykę zaś skomponował Szkroup, twórca pierwszej opery czeskiej. W sztuce tej znajduje się szereg kupletów i jeden z nich był właśnie „Kde domow muj?“ Pieśń ta śpiewana na scenie przez żebra, zrobiła ogromne wrażenie i podobała się tak, że w przeciągu kilku tygodni stała się hymnem narodowym. Śpiewano ją wszędzie i przy każdej sposobności śpiewają ją Czesi do dziś dnia, i śpiewać ją będą zawsze jako drogą pamiątkę po czasach ideału i najczystszej miłości dla kraju rodzinnego. Wypada jeszcze objaśnić, co to znaczy: *Fidlowaczka*. Otóż w pierwszej Środę po Wielkiej Nocy odbywa się u nas na łące Nusle pod Pragę wielka uroczystość ludowa. Łąka zapelniona jest budami, kuglarzami, karuzelami i t. d., i przedstawia widok wiedeńskiego Wurstel-prateru lub drezdeńskiego Vogelwiese. Co rok ogromne tłumy niższych warstw ludności śpieszą tam i liczba dochodzi 80.000 osób.

Melodya pieśni „Gdzie domow muj?“ pełna jest tęsknoty, rzewna i tkliwa — odpowiedna czasowi, w którym się zjawiała, text jej zaś technie ową idealną prostotą, jaką cechowała się epoka Tyla. Dzień jubileuszowej rocznicy obchodzono z godnością w całych Czechach, na Morawii i w czeskiej części Szląska, nawet i między Czechami za Oceanem! Narodowy teatr dał uroczyste przedstawienie z uwerturą Dworzaka (fantazya na temat: Kde domow muj) i z żywym obrazem, który przedstawiał ideę czeską w pieśni tej złożoną. Żywy ten obraz, układu Kolara, bardzo był piękny i został powitany burzą oklasków.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tyt.: **Silny duch**.

TREŚĆ. Grzechy ekonomiczne, przez M. Ilnicką. — Henryk Siemiradzki, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżskie. — Kronika działalności kobiecej. — Listy z Czech, przez Edwarda Jelinka.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 12-ty, przez W. Heimbürg. — Grzywka. — 30 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Января 1885 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 4.

Prenumeratorki na żądanie otrzymywać mogą podług Wzorów Ubiorów w piśmie „Bluszcz“ podawanych
FORMY Z PAPIERU.

Formy mogą być dopasowane do figury po nadesłaniu miary połowy objętości górnej i długości boczka.

Ceny form z papieru: Suknia lub kostium zwyczajny rsr. 1. Suknia lub kostium strojny, pracowniej wykonany rsr. 1, kop. 50. Szlafroczek kop. 60. Vetement kop. 75; strojnieszy rsr. 1. Paltocik, żakietka kop. 50. Stanik kop. 30. Płaszcz, dołman lub paltot kop. 50. Ubranie dla chłopczyka całe kop. 50. Ubranie dla dziewczynki kop. 60; sama sukienka kop. 30.

Za przesyłkę pocztą pod opaską, dolicza się kop. 5 do każdego fasonu. Zamówienia przyjmują się w Zakładzie Form P. Durand przy ulicy Chmielnej Nr 4. — listy z prowincyi uprasza się adresować do Administracyi Bluszcza.

Grzywka.

Grzywka, to jest krótko nad czołem obcięte i zwykle zafrizowane włosy, jest wyjątkowo nie lubionym przystrojem głowy; ci którzy zapatrują się nań z punktu widzenia artystycznego, uważają, że zasłaniając czoło, grzywka psuje harmonię konturów twarzy, inni stawiają zarzuty poważniejsze, że charakterystyka ona oblicza młodych kobiet w sposób nie pożądanym, dając im wyraz to załotności, to zuchwalstwa, jeżeli jest zbyt bujną i roztarganą. Wprawdzie z każdej mody, z każdego przystroju, można zrobić rzecz źle bijącą w oczy, jeżeli pragnie się tego, aby pociągać wzrok za jaką bądź cenę. Paryż, który



jest rogiem obfitości dla wszelkich nowości w dziedzinie mody, dał też początek i grzywkom. Uganianie się za oryginalnością i zmienność gustów, wychodząca nietyle może od samych elegantek, ile od przemysłu modnego, który z próżności ludzkiej ogromny podatek ściągając, wprowadza i w dziedzinę czesania coraz to nowe fantazje, że zaś pomysły już się wyczerpywać zaczęły, więc modniarstwo paryżskie zwraca się często do ubiegłych stuleci i przyswaja sobie wzory ich gustu, przystosowane do dzisiejszych warunków toaletowych. Taką też jest i historia grzywek, której dziś bynajmniej nie wymyślono. Na obrazie Van Dycka

Nr 1. Okrycie z sukna. Plecy. (Do r. 7 w B. Nr 3).
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13 do 18.

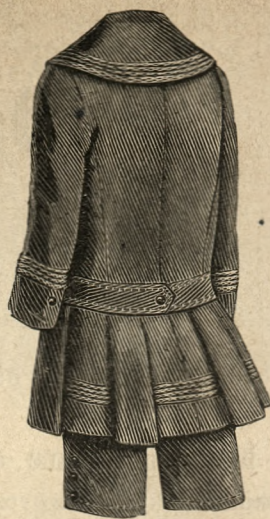
Nr 2. Kostium z sukna i pluszu. Przód. (Do ryc. 15).
Krój i opis odw. str. tabl. Nr VII, fig. 49 do 60.

troje dzieci króla Anglii, Karola I-go tak są uczesane. Książę Walii, a późniejszy Karol II, książę Yorku, późniejszy Jakób II-gi i królowa Marya Henryetta, późniejsza żona Wilhelma II-go statudera holenderskiego, mają grzywki, które widzimy na obrazach tak XVI, jak i XVII wieku. Ma ją między innymi Saskia, pierwsza żona malarza Rembrandta, tak na portrecie noszącym miano „Rembrandt z żoną“, jak na drugim mylnie zatytułowanym „Córka Rembrandta“.

Nr 3. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Plecy. (Do ryc. 25)



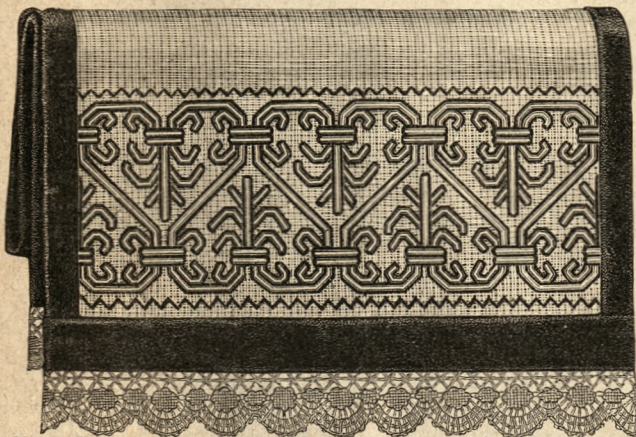
Nr 5. Szlak do ryc. 22 w B. Nr 3 szydełkową robotą $\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej.



Nr 4. Ubranie dla chłopczyka od 3 do 5 lat. Plecy. (Do ryc. 24).

ność załotna, złe zawsze przedstawiająca, młodą zwłaszcza pannę.

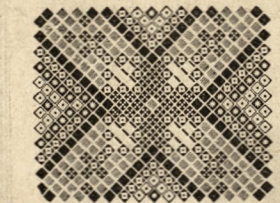
Czoło czyste, gładkie, pogodne, zakrywać się nie powinno, ze względów estetycznych, bo nie lepiej nie podnosi wdzięku i uroku młodości, jak prostota i bezpretensjonalność w ubiorze i dlatego młode panny pozabawiają się największego powabu, gdy odstępując od tej zasady, przysstrajają się chcą wyszukanie i sztucznym wdziękiem zastępować naturalny. W ogóle włosy gładko zaczesane nad czołem,



Nr 6. Serweta krzyżowym i fańszuskowym haftem. (Do r. 11).

obydwóch grzywka jest zafrizowana w drobne, wijące się nad czołem loczki, które go wcale nie zasłaniają, ale lekko i wdzięcznie ocieniają. Grzywki paryskiego pochodzenia, zmieniły przecież charakter; te które przyzwały je sobie najpierw, już je zdeskretytowały samą nazwą

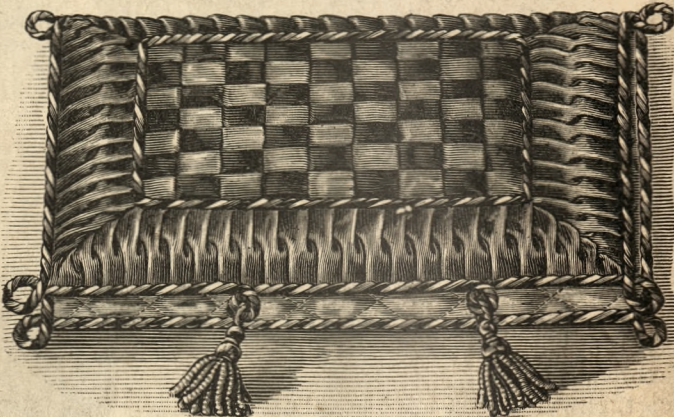
„à la chien-ne“, każąca naturalnie domyslać się splątanych oryginalnie kudełków, spadających na oczy, jak u tych piesków pokojowych, dla których owe damy sprawiają o b r o ż e z drogiemi kamieniami i czapraczki z najkosztowniej-szych tkanin. Grzywka „à la chienne“ szpeci rzeczywiście i w zły sposób charakteryzuje podobnie ufrizowane osoby. Jedne wyglądają jak lalki z wystawy fryzjerskiej, drugie gorzej, bo bije w oczy oryginal-



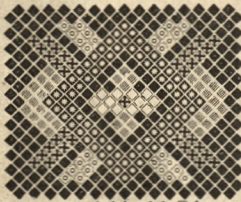
■ czar., ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, * pier. (naje), ■ drugi, ■ trzeci (najt.) oliw.-ziel., * modny. Nr 8. Wzór do r. 22 w B. Nr 3.



Nr 9. Taburet robotą szydełkową i haftem. (Do r. 1, 6, 20 i 23 do 26 w Blu. Nr 3).



Nr 7. Szaszetka do chusiek od nosa.

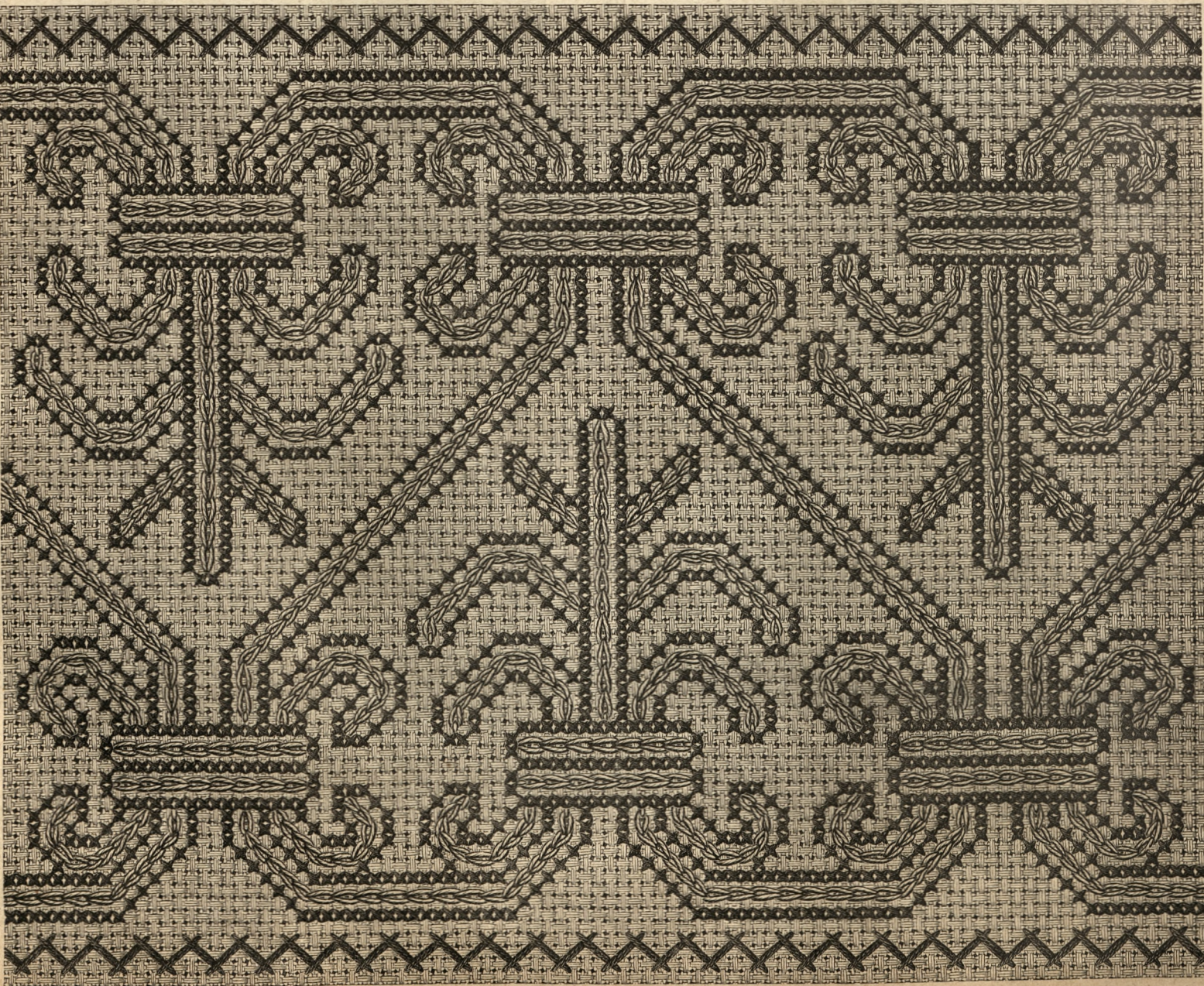


* ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, * ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy, ■ oliwk., ■ bronz. Nr 10. Wzór do r. 22 w B. Nr 3.

dają każdej twarzy kobiecej, spokojny i pogodny wyraz, który sam w sobie już jest pewnego rodzaju pięknoscia, bo sympatycznie pociąga i korzystnie przemawia za osobę, z takim miłym wyrazem twarzy. Są wprowadzić pewne czoła nie regularnie zarysowane, których

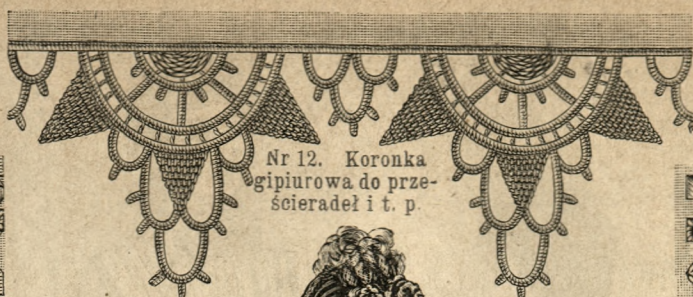
nieforemność grzywka przykrzywa, a przynajmniej ocienia i mniej wydatną czyni, i wtedy ma racją bytu tylko nie było to kofafiurą „à la chienne“, byle nie dawała fizjonomii tego wyrazu, który tylko szkodzi, a nie pomaga urodzie kobiety z godnością — byle z pod splątanych i natarganych na czoło włosów, oczy nie błyskały zbyt śmiało i załotnie.

W każdym razie trudno jest zrozumieć takie rozpowszechnienie jakiejś mody aby stała

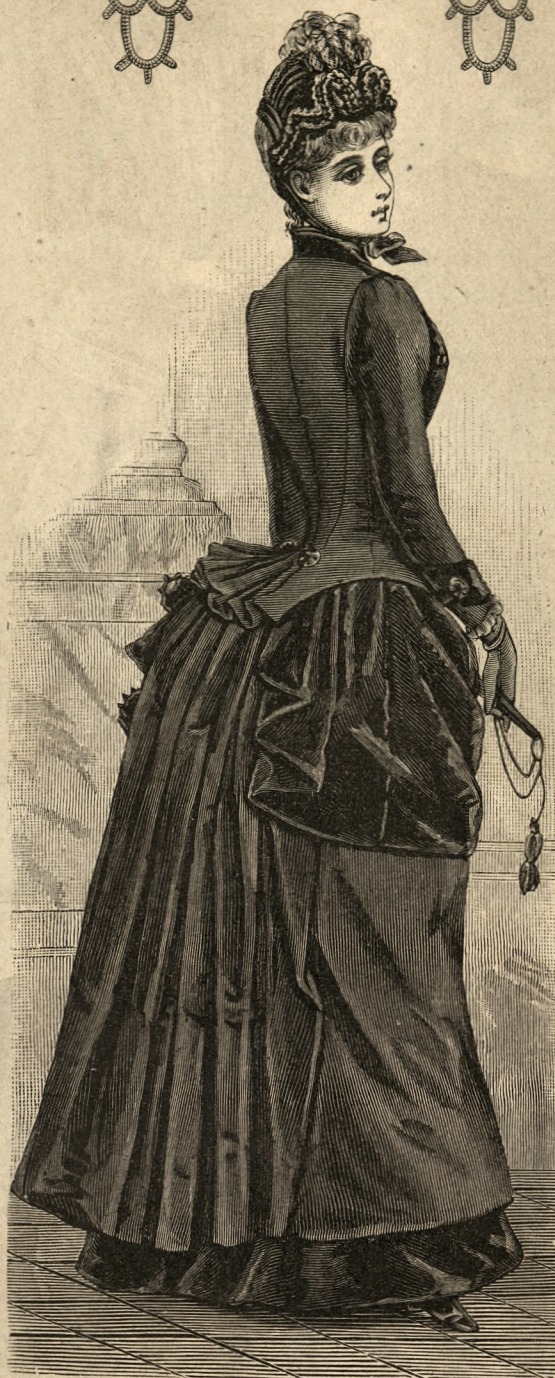


Nr 11. Część haftu na serwetkę na stół ryc. 6 Wielkość naturalna.

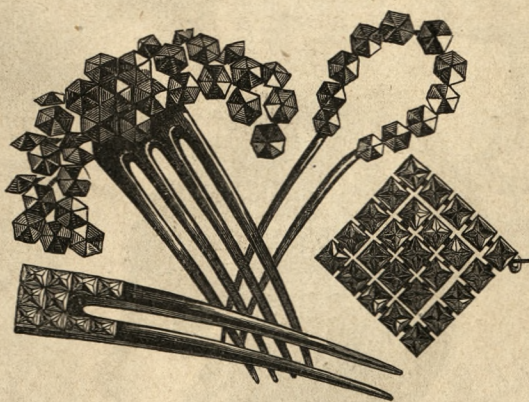
się ona tak ogólną, jak na przykład ogólnie noszą się grzywki, gdyż każdy rodzaj urody, każdy odmienny typ twarzy, wymaga odmiennego zaczesania włosów i trudno na



Nr 12. Koronka gipsiurwa do prześcieradeł i t. p.



Nr 15. Kostium z sukna i pluszu. Plecy. (Do ryc. 2).



Nr 16 — 19. Ozdoby do włosów i broszka z grenatiny.

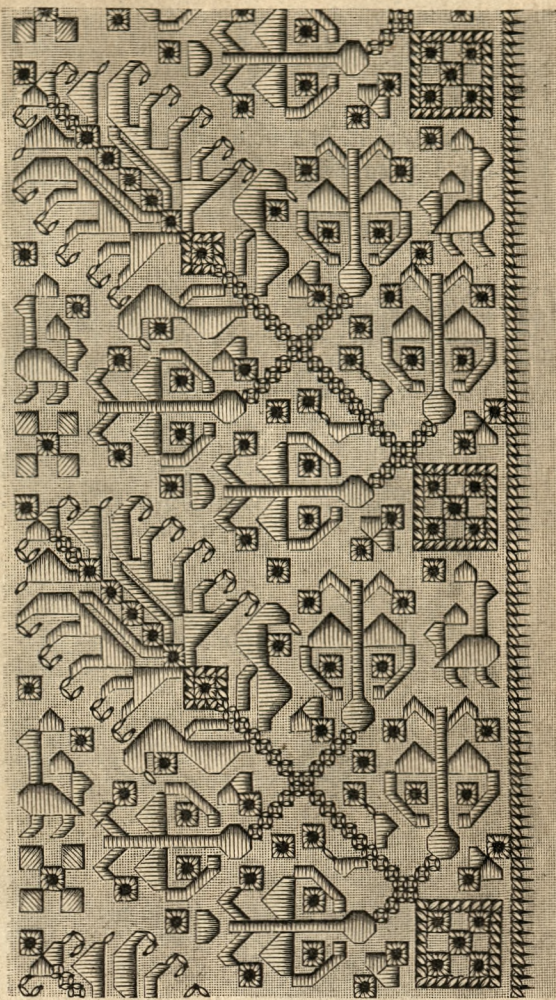
dy posępna, wyraz szlachetnej spokojności znika i cały charakter fizygnomii zmienia się zupełnie, dzięki modzie, która wtedy stanowczo już szpeci i jeżeli każda kobieta przegląda się przymierzając kapelusz i dobiera sobie fason, który byłby jej do twarzy, należałoby się również poradzić nie ryciny mód, ale własnego gustu, gdy się zaczesują włosy. Ręczymy, że przy takim sposobie postępowania, połowa grzywek nie kryła by, szczególnie u młodych i świeżych osób czoła. Wszelka fryzura to już sztuka, której nie potrzebują jeszcze te, które sama natura darzy wdziękiem wiosennego kwiatu, gdy z wszystkimi ponętami świeżości rozwija się z pąka.

L. C.

Serweta kryżowym i łańcuszkowym haf.

Rycina Nr 6 i 11.

Serwetka na stół do roboty, wymaga 85

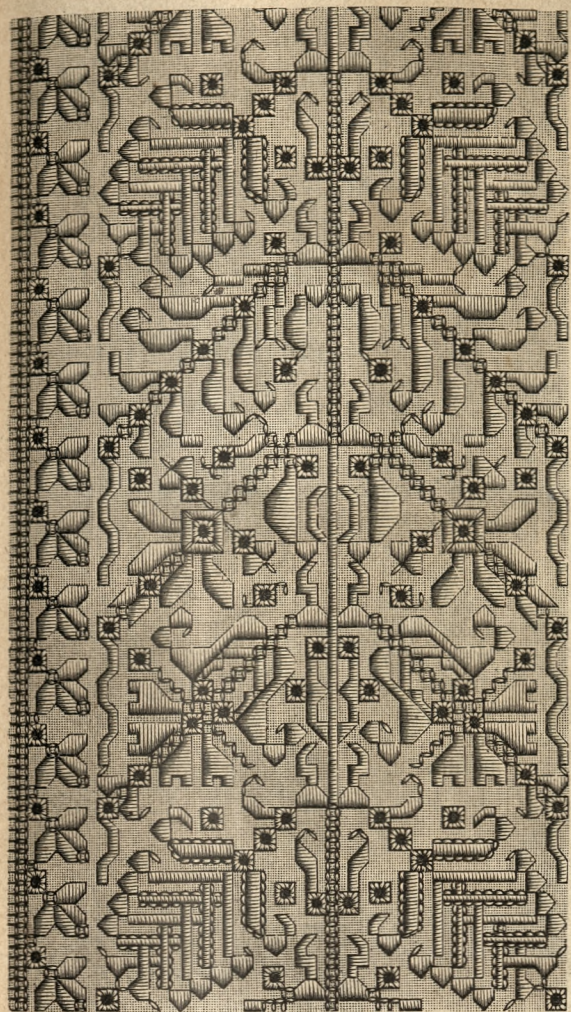


Nr 14. Szlak do prześcieradeł, ręczników i t. p. podwójny m, płaskim, kordonkowym, s'ębnowanym i Holbeina ścieg.

cent. długiego, a 46 c. szerokiego trytu, z żółtawej kratkowanej wełnianej materii, który na dwóch końcach ozdobiony jest haftem i żół-



Nr 21. Kostium charakterystyczny „Cyganka hiszpańska”. Opis odwr. str. tabl.



Nr 13. Szlak do prześcieradeł, ręczników i t. p. podwójny m, płaskim, kordonkowym, s'ębnowanym i Holbeina ścieg.



Nr 20. Kostium charakterystyczny „Róża”. Opis odwr. str. tabl.

tawą, tkaną koronką, a na około oblamo-
wuje się plisą z pasowego pluszu. Ry-
cina Nr 11 podaje część szlaku w natu-
ralnej wielkości, robi się on krzyżowym
ściegiem, pasową filozelą, jako też złote-
mi niemi łańcuszkowym ściegiem. Brzegi
szlaku obhaftowane z dwóch stron pas-
owym jedwabiem krzyżowymi ściegami.

Szlak gipiurowy na prześcieradła i t. p. ściegiem dziergany.

Rycina Nr 12.

Po przeniesieniu deseni na płótno,
obwieść półkoła grubą nitką, którą nale-
ży przymocować kilkoma ściegami i ob-
dzierać cięszymi niemi. Na małe sł-
peczki pomiędzy półkołami przeciąga
ga się nitkę i owija się ją, powracając
drugą ni-
tką. Ząb-
ki u brze-
gu ozd-
biają się,
podług
ryciny,
małymi
pikotami.

**Ozdoby
do wło-
sów oraz
broszka
z grena-
tiny.**

Rycina Nr 16
do 19.

Rycina
przedsta-
wia dwie
spilki



Nr 24. Ubranie dla chłopczyka od
3 do 5 lat. Przód. (Do ryc. 4).
Opis odwr. str. tabl.

i grzebień do włosów,
oraz broszkę, zrobione
z kamienia zwa-
nego „grenati-
ne”. Małe
grupki gre-
natinu po-
marańczo-
wego kolo-
ru, przymo-
cowane jak
dżet do me-
talowej
podsta-
wy. Ta
broszka
moż e
służyć
jako a-
grafka
do ka-
pelusza.

Cze- sanie włosów.

Rycina
Nr 30

Uczesa-
nie przed-
stawione
na ryc. 30,
potrzebuje
bardzo dłu-
gich gę-
stych wło-



Nr 22. Ubranie dla chłopczyka
od 6 do 8 lat. Krój i opis odwr.
str. tabl. Nr V, fig. 33—45.

Nr 23. Sukienka dla panienki od 8 do 10 lat.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12.

sów. Oddzielić przednią część włosów
od tylnej i obie ukarbować; średnią część
włosów zwinąć i upiąć na wierzchu gło-
wy, pozostałe tylne włosy rozdzielić na
połowę i każdą z nich zwinąć razem z od-
częścią przednich i przypiąć do upiętych
już środkowych włosów, wszystkie końce
zczesane razem, rozdzielić na dwie czę-
ści, zwinąć mocno każdą część osobno
i upiąć podług ryciny, dwoma szyldkre-
towymi spilkami.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa klarowna z grza-
neczkami.
2. Pieróg z mięsa w drożdżowym
cieście.
3. Pie-
czeń wo-
łowa z ro-
żną z ma-
karonem.
4. Szar-
lotka z ja-
błek we
francuz-
kiem cie-
ście na
półmisku.



Nr 25. Sukienka dla dziewczynki
od 5 do 7 lat. Przód. (Do ryc. 3).
Opis odwr. str. tabl.

UWAGA.

Tablica
krojów
odno-
sząca
się do
wzo-
rów
w dzi-
siejszym
nume-
rze po-
danych,
dołączo-
ną była
do zeszle-
go nume-
ru.



Nr 26 do 30. Modne czesania włosów. (Do ryc. 26 w Bl. Nr 3). Opis odwr. str. tabl.